

**Frederic Dard  
Trawnik**

–

Frederic DARD  
**TRAWNIK**

**Frederic Dard  
Trawnik**

Tłumaczył: Artur Neger

## **ROZDZIAŁ I**

Gdy zauważyłem, że wsiada do mojego wozu, pomyślałem, że chce go ukraść. Wskoczyłem z restauracji, z serwetką w rękę. Stojąc na ulicy w rażącym świetle południa, spostrzegłem że wertując kartki przewodnika turystycznego, siedzi obok miejsca kierowcy. Była niewysoka, miała ogorzałą twarz, a jej bezbarwne włosy lepiły się od morskiej wody. Nosila plażową kurtkę z zielonego frotte, po szyi spływały jej strużki wody znikając w dekolcie kostiumu kąpielowego. Cień, który znieścacka pojawił się na stronach trzymanej przez nią książki, zwrócił jej uwagę.

Patrzyliśmy na siebie z zakłopotaniem przez dłuższą chwilę. Wydawała się całkiem spokojna, jak ktoś, kto jest przeświadczony, że wszystko jest w porządku.

– Pani wybaczy – zacząłem bełkotać – ale to... to jest mój samochód...

Zmarszczone ze zdziwienia gęste brwi, których nigdy chyba nie depi-lowala, dodawały głębi jej jasnemu spojrzeniu.

– Nie rozumiem, jaki pana samochód? – wyszeptala.

Była Angielką. Po francusku mówiła z takim akcentem, jakby chciała podkreślić swoje pochodzenie. Miała cienki głos, całkiem do niej nie pasujący. Przywiódł mi na myśl źle zdubingowane westerny, w których córka szeryfa mówi piskliwym głosem małej zidiociałej dziewczynki. Zirykowało mnie to.

– Siedzi pani w moim samochodzie! – odburknąłem niezbyt życzliwie.

Patrzyła na mnie uważnie, poruszając niemo wargami, jakby powtarzała zo mną niektóre słowa, których sens nie był dla niej oczywisty. A potem nagle wskazując stojącego, tuż przed moim i identycznego z nim białego MG, wybuchnęła śmiechem. Jego numer rejestracyjny był brytyjski.

– Jest mi niezmiernie przykro – zaszcebiotała młoda kobieta otwierając drzwi.

Zacząłem się śmiać z jej zmieszania. Była to przecież typowa pomyłka, jaką można popełnić w zatłoczonym Juan-les-Pins w sierpniu.

– Czyż nie są identyczne? – zapytała, wskazując na drugiego MG.

- Nie rozumiem...
- Czego pani nie rozumie?
- Jak mogłam się tak pomylić.

I nagle znowu stała się zwykłą „british”. Zdała sobie sprawę, że rozmawia z mężczyzną, który nie został jej przedstawiony, i bez słowa zostawiła mnie przy wejściu do restauracji. Wróciłem do stołu i przez resztę posiłku nie rzuciłem okiem na zewnątrz. Gdy wyszedłem, nie było już MG Angielki.

Usiadłem za kierownicą i pojechałem do swojego hotelu, leżącego niedaleko za miastem. Codziennie po obiedzie ucinałem w swoim pokoju drzemkę, gdyż z powodu hałasu dochodzącego z nocnego lokalu o dwadzieścia metrów stąd, spędzałem bezsenne noce. W chwili, gdy wyskakiwałem z wozu, zauważyłem torbę plażową. Postawiła ją pod tablicą rozdzielczą i dlatego wcześniej nie dostrzegłem jej – była tak samo czarna jak podłoga MG. Torba zawierała powieść w języku angielskim, flakon z olejkiem do opalania, okulary przeciwsłoneczne, ręcznik i małego pluszowego lwa. W futerale do okularów ze złocistego plastyku znajdowało się około tysiąca franków.

Zmartwiło mnie to. Nie zamierzałem poszukiwać dziewczyny o spieczonej twarzy. Wziąłem torbę i wrzuciłem do tej części szafy, z której nie korzystałem.

Wakacje miałem spędzić w towarzystwie Denise; tyle tylko że na dwa dni przed naszym wyjazdem zerwaliśmy ze sobą pod niezwykle błahym pretekstem. Przez chwilę myślałem, że też nie wyjadę, ale w końcu doszedłem do wniosku, że Lazurowe Wybrzeże może oderwać mnie od kłopotów. I teraz żałowałem. Aby przebywać w miejscach, w których ludzie się bawią, trzeba samemu być szczęśliwym, inaczej wszystko wydaje się jeszcze bardziej smutne. Szczerze mówiąc, nie martwiłem się zbyt, odczuwałem raczej tępe rozczarowanie.

Nie myślałem już o Angielce spotkanej z rana.

\* \* \*

Wieczorami, jeśli żaden spektakl mnie nie nęcił, spędzałem godzinę lub dwie w kasynie gry. Nie jestem hazardzistą, ale lubię atmosferę panującą w salach gier. Czuje się tam napięcie, co mnie lekko podnieca. Wzruszają mnie te poważne i blade twarze, które skupione nad oświetlonymi stołami, silą się na kamienny spokój. Jeżeli piekło zatrudnia jakiś personel, to jestem przekonany, że składa się on z byłych krupierów. Niefrasobliwy spokój tych istot tak silnie kontrastuje z fałszywym spokojem klientów, że staje się on szatański.

Pamiętam, tego wieczora obstałem piątkę, następnie czternastkę i znowu piątkę. W ciągu kilku minut przegrałem piętnaście tysięcy franków. Rytułowi stało się zatem zadość. Tym razem zagrałem jeszcze raz, i to całkiem inną metodą: postawiłem piętnaście tysięcy franków na czerwone. Jeśli wyjdą czarne, to wieczór ten będzie mnie kosztował trzydzieści tysięcy franków, gdyby jednak wyszły czerwone, to pokrywam swoje stropy i opuszczam kasyno.

Trzy zetony po pięć tysięcy franków każdy postawiłem na czerwone jednak z pewnym zażenowaniem. Zabierałem już rękę ze stołu, gdy zauważyłem po drugiej jego stronie śliczną młodą kobietę. Uśmiechała się do mnie. W lewej ręce trzymała stos zetonów. Odliczyła z niego zetony wartości piętnastu tysięcy franków i patrząc na mnie, postawiła je na czerwone. Jej gest wyglądał jak wyzwanie i zaskoczył mnie. Zastanawiałem się, gdzie już widziałem tę dziewczynę. Krupier puścił w ruch ruletkę, a następnie zręcznym ruchem wyrzucił kulkę.

Ciągle zastanawiając się, w jakich okolicznościach się poznaliśmy, nie spuszczałem młodej kobiety z oczu. Wydawało mi się, że musiało to być dość dawno.

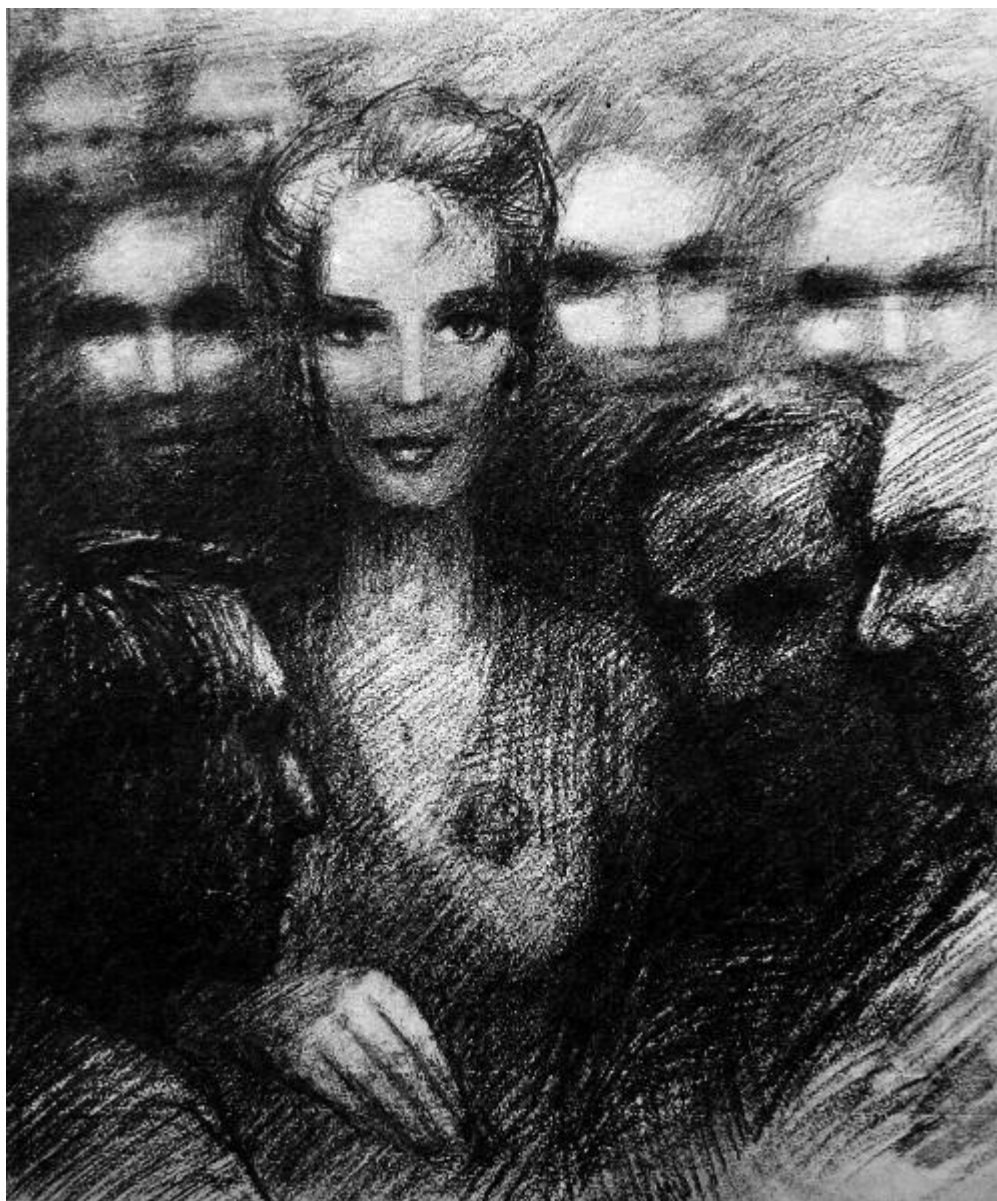
Wyszły czerwone. Dziewczyna zrobiła rozczarowaną minę i po tym wyrazie twarzy rozpoznałem ją. Było to poznana rano Angielko. Stałem osłupiały z powodu bajecznej przemiany. Jak ta dziewczyna o rumianej twarzy siedząca w MG mogła przekształcić się w elegancką i śliczną kobietę? Obszedłem stół, aby podejść do niej.

- Co za miła niespodzianka!
- Zapomina pan o wygranej – wyszeptała wskazując na zielone sukno.

Z udaną swobodą wzruszyłem ramionami.

– Podwajam stawkę – powiedziałem cichym głosem, dając do zrozumienia, że taka stawka to dla mnie drobiazg.

– Nie powinnam była grać przeciw panu.



Jej kasztanowe włosy o rudawym odcieniu były zaczesane do góry i spięte złotym łańcuszkiem, którego ściśle ogniwa przypominały rybie łuski. Uczesanie to podkreślało piękno jej włosów. Rano wydawała mi się rumiana, w rzeczywistości padła po prostu ofiarą słońca. Skromny raczej makijaż wykorzystywał ten naturalny podkład w sposób zaskakujący, podkreślając urodę jej rysów. Ubrana była w zieloną suknię z małym dekoltem, obok którego przypięła różę z czarnej koronki. Kreacja ta zapewne nie pochodziła z Paryża, nie była zbyt sztywna, ale pasowała do niej.

Usłyszałem stukot kulki. Tym razem wyszły czarne, co oznaczało, że moje trzydzieści tysięcy franków przepadło. Wykorzystałem tę chwilę, żeby zaprosić moją towarzyszkę do baru.

– Szampano?

Zaśmiała się.

– Czy pani wie, że zostawiła w moim samochodzie torbę plażową?

– Wiem. Zmartwiłam się z powodu okularów, ale miałam nadzieję, że znowu pana spotkam...

Miało nadzieję, że mnie spotka z powodu okularów przeciwsłonecznych... Sposób, w jaki to

powiedziała, sprawił mi przyjemność. Nie mogłem oderwać od niej oczu. Była pełna wdzięku, poruszała się z niezwykłą swobodą; pierwszy raz w życiu zetknąłem się z tak ujmującą urodą.

– Dlaczego pan mi się tak przygląda? – zapytała w końcu. – Czy coś nie w porządku?

– Pani jest piękna!

Odwróciła oczy, a po małej chwili oświadczyła:

– Swoją pierwszą podróż do Francji odbyłam w ramach wycieczki. Byłam wówczas młodą dziewczyną. Przed wyjazdem nasz przewodnik powiedział między innymi, że pierwszą rzeczą, jaką Francuz czyni, gdy jest sam na sam z kobietą, to mówi jej, że jest piękna.

– Cieszę się, że się pani nie rozczarowała, mademoiselle...

– Madame!

– Och, przepraszam. Pani pozwoli, że się wreszcie przedstawię: Jean-Marie Valaise.

– Nazywam się Faulks, Marjorie Faulks.

Kelner przyniósł szampana i chciał nalać do kieliszków. Poprosiłem go, żeby zostawił butelkę w wiaderku z lodem. Pragnąłem, aby to tete-a-tete trwało jak najdłużej.

– Powiedziałem pani, że jest piękna, bo dziś rano nie odniosłem tego wrażenia – oświadczyłem zniechęca.

Kiwnęła głową.

– Dziś rano wziął mnie pan za złodziejkę, o poza tym dopiero co opuściłam plażę i byłam czerwona jak rak. Wydaje mi się jednak, że to właśnie teraz się pon myli: nie jestem wcale piękna.

Jeszcze raz przyjrzałem się jej bezwstydnie, tak jak się patrzy na obraz. Czy była piękna? Może rzeczywiście nie. Miała typowe dla Angielek usta, z bardziej wydatną górną szczęką. Musiała czytać w moich myślach, bo kciukiem pogłaskała górną wargę.

Wypiliśmy pierwszy kielich. Marjorie, żeby lepiej rozkoszować się napojem, zamykała oczy. Nagle przyszło mi do głowy, że nie sama przyjechała na Wybrzeże. Gdy wsiadła do mojego MG, zajęła miejsce pasażera i wydawała się na kogoś czekać. Ta myśl zasmuciła mnie nieco.

– Mieszka pani w hotelu?

– Nie, zatrzymałam się u rodaków, którzy wynajęli willę w Cap d'Antibes.

– Przyjechała pani na długo?

– Wracam samolotem jutro wieczorem.

Moje rozczarowanie było widoczne. Przypominałem chłopca, który przekonał się, że noga, której dotykał swoim kolanem i z zachwytem stwierdzał, że się nie odsuwa, nie należy do siedzącej obok niego przy stole pięknej sąsiadki, ale jest nogą od stołu.

– Szkoda.

– Tak, szkoda. Uwielbiam Lazurowe Wybrzeże.

– Czy jest tu pani ze swoim mężem?

– Nie, z powodu swoich zajęć nie mógł w tym roku wziąć jeszcze urlopu. Jest architektem i pracuje przy budowie wielkiego budynku szkolnego na przedmieściach Londynu. A pan czym się zajmuje?

– Jeżdżę głównie samochodem – odparłem. – Sprzedaję maszyny liczące wyprodukowane przez amerykańską firmę.

Otoczeni gwarem płynącym z sal kasyna, rozmawialiśmy jeszcze z godzinę. Wokół lamp wiły się kłęby dymu i piekły nas w oczy. Marjorie wstała tak gwałtownie, że nie od razu pojąłem, iż zamierza wyjść.

– Jestem umówiona z przyjaciółmi i już dawno jestem spóźniona. Dziękuję za szampana...

– A pani torba plażowa? – wybełkotałem całkiem oszołomiony jej gwałtownością.

– Gdzie się pan zatrzymał?

– „Pod Błękitną Palmą”, znajduje się...

– Poślę po nią, do widzenia panu.

Wtopiła się w tłum. Pobiegłem za nią, ale musiałem wrócić, bo jeszcze nie zapłaciłem za butelkę szampana, a barman był zajęty.

## ROZDZIAŁ II

Tego wieczora troszeczkę wypilem. Niestety, jedyne, co mi się udało osiągnąć, to nieprzyjemny kac.

Do hotelu wróciłem późno. Męczyło mnie straszne pragnienie. Napilem się mdłej wody z kranu, jednak bez skutku. Moje życie – jak ta woda – wydawało się mieć smak zardzewiałych rur. Przez szpary w okiennicach widziałem, jak miga zielonkawy neon „Makao”. Zbyt długie patrzenie na to drgające światło wywoływało we mnie nieodpartą chęć wycia.

Jak każdej nocy zasnąłem koło czwartej nad ranem. Obudziwszy się, stwierdziłem, że ból głowy wcale nie ustąpił, więc dowlokłem się do łazienki. Działanie prysznicu okazało się zbawienne.

Po mocnej kawie i aspirynie czuję się jak nowo narodzony – myślałem. Pójdę wylegiwać się na plaży i życie powróci do normy. Czego więcej mogłem żądać? Był teraz czas wakacji, słońca, kasyna, zup rybnych. A potem Paryż i telefon do Denise! I moi klienci, którym będę zachwalał zalety maszyny do liczenia marki ACT.

Mimo nałożonego szlafroka trząsałem się z zimna i aby się rozgrzać postanowiłem powrócić na pięć minut do łóżka. Wchodząc do pokoju spostrzegłem Marjorie, siedzącą grzecznie z dłońmi splecionymi na kolanie, w fotelu w stylu prowansalskim. Nosiła białe szorty i marynarską bluzę w granatowe paski. Była nieumalowana, a włosy związała z tyłu wstążką. Wydawała się zachwycona moim osłupieniem.

– Wiem, że się tego nie robi – powiedziała – ale Lazurowe Wybrzeże jest właśnie takim miejscem, gdzie ma się ochotę czynić to, czego nie wolno.

W szlafroku, ociekający wodą, która spływała mi po karku i nogach, czułem się niezręcznie i trochę ogłupiały. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie mogłem proponować, by usiadła, bo już to uczyniła.

– Sama przyszedłam po torbę. Wczoraj tak nagle pana opuściłam... Czy pan nigdy nie zamyka drzwi na klucz?

– Nie w hotelach.

– Dlaczego?

– Widocznie po to, aby mogły wejść takie osoby, jak pani.

Zamiast się uśmiechnąć, zasępiła się tak, jakby się obraziła. Czułem, że zastanawia się, czy nie wyjść. W końcu jednak została. Jej jasne spojrzenie błędziło przez otwarte okno.

Podszedłem do szafy i wyciągnąłem plażową torbę.

– Oto pani własność...

Położyła torbę na kolanach. Nie wiem czemu, ale nadal wydawała się przestraszona, a zarazem nadąsana. Przypominała małą dziewczynkę, którą skarcono publicznie i która za chwilę się rozpłacze.

– To miło, że pani przyszła, Mrs Faulks.

– Może mi pan mówić Marjorie.

– Dzięki, bo miałem na to straszną ochotę. Po francusku Marjorie brzmi tak jak „Moja Piękna” (Ma Jolie).

Ponieważ w pokoju nie było więcej krzeseł, usiadłem na łóżku i obciągnąłem poły szlafroka, aby zasłonić owłosione nogi.

Patrzyła teraz na zdjęcie Denise stojące na nocnym stoliku. Było w małej skórzanej ramce. W dniu, w którym Denise mi je podarowała, musiałem jej przysiąc, że zawsze będę je miał ze sobą.

– To siostra? – spytała Marjorie.

– Nie, skąd!

– Jest do pana podobna.

– Żyłem z tą kobietą sześć lat.

– A teraz?

– Teraz sprawa jest tymczasowo skończona.

Wyraźnie ją to interesowało i patrzyła na mnie uważnie, starając się zrozumieć każde słowo.

– Co to znaczy „tymczasowo skończona”?

– Znaczy to, że raz lub dwa razy do roku żegnamy się na zawsze, a po trzech tygodniach znowu się schodzimy. Jedno dzwoni do drugieczoną głową, dręczony nie wiadomo i zaczynamy od nowa.

- To miłość?
- Ma to pewne cechy miłości.
- Któregoś dnia nie będziecie do siebie dzwonić.
- Wiem. Być może ten dzień już nadszedł.
- Jest ładna.
- Ładniejsza niż na tym zdjęciu.
- Musi być dowcipna. Ma żywe oczy.
- Zgadza się.
- Mieszkacie razem?
- Nie.
- Pracuje?
- Prowadzi mały dom mody nie opodal Pól Elizejskich.

Wiedziała teraz więcej o Denise niż o mnie. Dziwne było to, że Denise stała się nagle kimś w rodzaju łącznika między nami.

- Czy nadal zamierza pani wyjechać dziś wieczorem?
- Tak, mąż na mnie czeka.
- A on, jaki to człowiek?
- Raczej poważny. Jest wysoki, szczupły...
- Nie macie dzieci?
- Nie.

Nie mieliśmy sobie nic więcej do powiedzenia. Wstata, poprawiła swoje szorty, jak czynią to wszystkie kobiety. Jednym palcem trzymała rzemyk czarnej torby, która wolno kołysała się. Od czasu do czasu torba uderzała miękko o jej piękne opalone nogi. Umiem poznawać, kiedy ktoś jest nieszczęśliwy, zwłaszcza gdy czyni wszystko, aby to ukryć. Wyczułem, że tę dziewczynę trapi jakaś zgryzota, a ona za nic nie chce tego ujawnić. Ale smutek, jak rdza, zawsze wyjdzie na wierzch, niezależnie od ilości farby, jaką się ją pokrywa.

- Na mnie już pora... Miło mi było pana poznać, panie Valaise.

Podaliśmy sobie ręce i po chwili już jej nie było w pokoju. Powinienem był ją odprowadzić aż do drzwi, ale nie wstałem z łóżka, na którym siedziałem teraz z opuszczoną głową, dręczony nie wiadomo czym. Każda kobieta jest źródłem określonego promieniowania, Marjorie również, przy czym jej dawało anać o sobie dopiero, po jej odejściu. Odnosiło się wrażenie, że ciągle jeszcze jest obecna, a ta obecność była silniejsza bez niej. Spoglądałem na obicie fotela zielono-różowego kretonu. Opanowało mnie straszliwe poczucie utraty czegoś niezwykle pięknego. Kilka sekund wcześniej wszystko było możliwe. Trzeba było zdobyć się tylko na krok. Ale tak ona, jak i ja nie zrobiliśmy żadnego.

\* \* \*

Drzwi uchyliły się nieśmiało. Stała na progu, nie mając śmiałości przekroczyć progu. Przed chwilą weszła do pustego pokoju jak do własnego, teraz bała się uczynić krok naprzód. Podawała mi coś; był to pluszowy lew, który znajdował się w plażowej torbie.

- Niech pan to weźmie, jeśli panu się podoba – wyszeptano.

Zrobiłem krok ku drzwiom. Ale nie maskotkę ująłem dłonią, lecz przegub jej ręki. Wciągnąłem ją do pokoju, drzwi zamknąłem łokciem i objąłem Marjorie ramionami. Nie starała się bronić, nie wyczułem żadnego drżenia jej ciała.

Oparła opuszczoną głowę tam, gdzie rozchyłał się mój szlafrok i nie uczyniła żadnego ruchu. Po chwili podniosłem czule jej głowę i zauważyłem, że płacze.

- Proszę mi powiedzieć, co panią trapi, Marjorie...

Opamiętała się tak szybko jak przed chwilą się załamała. Zatrzepotała rzęsami i już miała suche oczy, a jej rysy nabrały twardego wyrazu.

– Proszę mi wybaczyć, głupio się zachowuję. – Siłą wsadziła mi małego Iwa do ręki. – Nazywam go Pug, bo jest podobny do psa, którego miałam, gdy byłam mała. Mam nadzieję, że przyniesie panu szczęście. – I dodała, uśmiechając się z zażenowaniem: – Proszę dbać o niego.

Był to przedmiot raczej tandetny, ale zrozumiałem, że dla Marjorie wyrzeczenie, się go było nie tyle czym.

– Będę dbał o niego – zapewniłem. – Czy będę mógł do pani napisać, Marjorie?

Moje pytanie zaskoczyło ją chyba. I nagie rozpromieniła się; radosnym, śpiewnym głosem rzuciła:

– Och, tak...

– Dzięki. Ale potrzebny mi pani adres.

Trochę się zasepiła.

– Adres? To niemożliwe. Niech pan pisze na poste restante przy Poczcie Głównej w Londynie.

– Zgoda.

– Nie chciałabym, żeby się pan zmuszał. Proszę mi obiecać, że napisze pan jedynie wówczas, gdy będzie pan tego mocno pragnął.

– Obiecuję pani.

Jeszcze kilka sekund temu mogłem ją porwać w ramiona, ale teraz staliśmy przed sobą obcy. Uścisnęliśmy sobie ręce.

### ROZDZIAŁ III

Nie zdążyła jeszcze skręcić za róg ulicy, gdy ja już siedziałem nad listem.

„Droga Marjorie!

Kiedy zastałem panią w swoim wozie, powinienem był usiąść za kierownicą i zanim pani wysiadła – powinienem był ruszyć przed siebie jak wariat...”.

Rozpisałem się na sześciu stronach, które chciałem wyrzucić do kosza, byłem bowiem pewien, że nie są w stanie wyjaśnić ani nawet odzwierciedlić stanu mojej duszy.

Są istoty, które się poznaje, ale istnieją również takie, które się spotyka i natychmiast rozpoznaje. Te ostatnie są w nas od zarania. Marjorie właśnie „rozpoznałem”. Od chwili, gdy opuściła pokój, jej obraz stawał się coraz wyraźniejszy. Spędziłem sześć lat z Denise, ale bilans naszego związku był żaden. A tu niespełna po godzinie spędzonej z Marjorie czułem się bogatszy.

Dzień był jakiś dziwny: ni to smutny, ni to radosny. Wrzucając list do skrzynki, uruchomiłem pewien mechanizm i nie mogłem już o niczym decydować, zanim ów mechanizm nie dokona swego dzieła.

Nie mogłem jednak nie, myśleć o tym, że Marjorie przebywała jeszcze przez cały dzień w Juan. Mógłbym próbować ją odnaleźć w tej rozbawionej ciżbie, ale nie miałem na to ochoty. Musiało upłynąć trochę czasu, zanim można będzie zaryzykować ponowne spotkanie. Trzeba mi było tego oczekiwania na nią! Przed wieczorem wróciłem do hotelu; byłem głodny i zmęczony długą bezczynnością na piachu. Właściciel hotelu, który dźwigał kosz pełen longust, zawołał mnie:

– Panie Valaise! Czy spotkał pan damę, która na pana czekała w patio?

Fala ciepła uderzyła mi do głowy.

Morjorie! Ruciłem się przez hall. Z tyłu było coś w rodzaju patia, w którym mieszkańcy hotelu wypijali przed snem ostatniego drinka. Basen wyłożony był zielonymi kafelkami, kilka bananowców i palma, której kora przypomina skórę słonia, nadawały temu miejscu niejaką egzotyczność.

Denise oczekiwała mnie, bujając się w wiszącym fotelu ogrodowym, którego łańcuchy

zgrzytały cicho pod jej ciężarem. Moje rozczarowanie było tak silne, że zrobiło mi się prawie słabo.

Zbliżyłem się do Denise ociężałym krokiem. Była ubrana w kostium z białego jedwabiu. Zdjęła pantofle, aby móc podwinąć nogi pod siebie.

– Przykro patrzeć na twoją minę – oświadczyła i smutno zaczęła się śmiać.

Była piękna, podniecająca. Wokół niej, unosił się dyskretny zapach eleganckiego Paryża.

– Nie spodziewałem się twojej wizyty – wydusiłem z siebie, całując ją bez większego zapału.

– Mojej wizyty! Ale masz powiedzonka! Tak, jak byśmy, ty i ja, składali sobie wizyty! –

Pogłaskała mnie po twarzy gestem pełnym dobroci i czułości. – Czyżby przypadkiem ktoś mnie zastąpił?

– Nie bądź głupia!

Jej spojrzenie dotarło aż do głębi mojej duszy, potem pokiwało głową jak lekarz, który zastanawia się jeszcze nad diagnozą.

– Wzięło mnie to nagle. Jeszcze dziś rano nie wiedziałam, że przyjadę. Przechodząc w samo południe obok biuro podróży na Polach Elizejskich, poczułam nagle, jak ogarnia mnie chandra. Weszłam i zapytałam, czy jest po południu jakiś samolot do Nicei: był. Jak ci się żyło beze mnie?

– Jakoś się żyło.

– Dobrze, czy źle? Bądź przynajmniej uprzejmy i skłam.

– Nie było jeszcze tak źle. Było szaro, letnio, nijako...

– U mnie było tak samo. Zdarzyło ci się coś miłego?

– Nie.

Twarz Marjorie zjawiała się przed moimi oczami, początkowo wyraźna, ale po chwili zniknęło.

– Nie wmówisz mi, że byłeś cnotliwy?!

– Nie mam zamiaru niczego ci wmawiać, ale taka jest prawda.

Podniosła się i palcami nóg przyciągnęła do siebie pantofle. Wyciągnęła do mnie rękę gestem pełnym obietnic.

– Idziesz?

Właściciel hotelu, który wyraźnie na nas czatował, zbliżył się w chwili, gdy zabierałem jej walizki z hallu.

– Niech pan to zostawi, panie Valaise, przyniesiemy je panu.

– Nie trzeba!

Gdy byliśmy już na schodach zapytał, starając się nie wybuchnąć śmiechem, nad którym ledwo panował:

– Podać jutro dwa śniadania?

– Tak, dwa.

## ROZDZIAŁ IV

Następnego dnia obudziłem się w pełni pogodzony z całym światem. Radość i odprężenie – oto, co odczuwałem. Odnosiłem też – nie bardzo wiedziałem dlaczego – kojące wrażenie... Wszystko to przypominało rekonwalescencję.

Wstałem bez trudu, rozpierała mnie cudowna radość. Słońce wpadało przez szpary w okiennicach pokrywając ściany pokoju złocistymi plamami. Podeszedłem do okna i uchyliłem okiennice. Mechanik z naprzeciwka pucował jakiś czerwony wóz sportowy, który wyglądał jak zabawka. Wtedy, na zasadzie skojarzeń, znowu zacząłem myśleć o Marjorie Faulks.

Denise, chroniąc się przed rażącym słońcem, zasłaniała ręką oczy. Przymknąłem okiennice, żeby uniknąć oślepienia. Naga, leżała na łóżku. Rozrzucone prześcieradła spadły na podłogę.

– To naprawdę wspaniałe – westchnęła, rozkładając ramiona.

– Co takiego?

– Lato! Riwiera! Słońce... I pomyśleć, że gdzieś teraz żyją sobie Eskimosi w domkach z lodu i Anglicy pod parasolami.



Anglisy pod parasolami! Wyobraziłem sobie Marjorie Faulks na Regent Street pod błękitną parasolką. Gorąco pragnąłem, aby nie poszła po mój list. Zresztą, gdyby do mnie napisała, postanowiłem nie odpisać. Jak mogłem wysmarować sześć kartek płomiennych wyznań do tej nieznajomej? Znowu ujrzałem ją, jak siedzi w moim MG i znów ogarnęło mnie pierwotne rozdrażnienie. Z przyrumienioną od słońca twarzą i włosami zlepionymi morską wodą wydawała mi się brzydka. Nie podobał mi się również jej cierpki głosik.

– O czym myśli mężczyzna mojego życia? – zapytała Denise, która cały czas spoglądała na mnie.

– Nie myślę, tylko płynę w siną dal.

– Płyniesz beze mnie. Odnoszę wrażenie, że coś ci się przytrafiło.

Nie rozumiałem, do czego zmierza. Denise była osobą spontaniczną, która umiała mówić wprost nawet wtedy, kiedy kpiała ze mnie.

– Jean-Marie, ty już mnie nie kochasz!

– Chyba żartujesz? – wyszeptałem.

Zrobiło mi się głupio.

– Wiesz przecież doskonale, Denise, że nie mogę żyć bez ciebie. Wczoraj życie wydawało mi się nie do zniesienia, a dziś chce mi się śpiewać.

– To o niczym nie świadczy. Najwyżej o tym, że miałeś ochotę się kochać i miałeś dość samotności...

Zakląłem cicho, wyskakując z łóżka. – Wygląda na to, że czynisz wszystko, aby mi zepsuć dzień.

Wyciągnęła do mnie swoje rozkoszne ramiona.

– Chodź mi wybaczyć, mój ty piękny egoisto!

\* \* \*

Przez pełne cztery dni zachowywaliśmy się jak dwoje dzieci żądnych słońca i swobody. Zawsze z pogardą odnosiłem się do tych scen filmowych, w których jakaś para goni się po plaży, aby wreszcie rzucić się w fale. Przez te cztery dni nie myślałem o Marjorie Faulks. Zniknęła jak większość kobiet, które spotkałem na swojej drodze.

To zdarzyło się dopiero piątego dnia. Schodziliśmy z naszego pokoju w strojach plażowych i Denise poszła do recepcji oddać klucz.

Czekałem na nią w hallu, patrząc jak pokojówki taszcza naręczą bielizny. Powietrze pachniało benzyną.

– Masz, jest list do ciebie.

Denise zbliżała się, trzymając na rękawie od badmintona podłużną kopertę. Na znaczku widniał wizerunek Elżbiety II.



Znienawidziłem nagle to pochyłe, pełne ozdóbek, tak typowe dla wszystkich Anglików pismo.

Ta idiotka odebrała mój list i musiała odpisać. Spotkałem drwiące spojrzenie Denise.

– Nie czytasz?

– Co to może być? – wybełkotałem, biorąc kopertę do ręki.

Dla zachowania twarzy i aby przestać patrzeć na Denise oczyma pełnymi zmieszania, rozdarłem kopertę zębami i wyjąłem przepołowiony list, który musiałem teraz składać, aby móc go przeczytać.

„Nie wiem, czy zna pan Londyn, ale od trzech dni pan w nim zamieszkuje...”.

Muzyka ma tę właściwość, że w ciągu czterech sekund może doprowadzić do zmiany stanu ducha. To pierwsze zdanie zabrzmiało jak mozartowskie takty. Jakiś magiczny hymn zabrzmiał w moim sercu, a nieobecność Marjorie odczułem jak cios w samą krtani. Wiersze listu skakały przed oczami, z trudem utrzymywałem razem obie połowy, bo ręce mi drżały ze wzruszenia.

„...wiem teraz, że kraj mój jest wyspą, na której żyję jak na wygnaniu. Bo bez pana, Jean-Marie. A przecież pana nie znam. Pamiętam tylko jakieś spojrzenie, jakąś intonację głosu, zabarwienie pana skóry w miejscu, tam gdzie zapada się policzek...”.

– Coś się stało? – zapytała nagle Denise. Zaprzeczyłem ruchem głowy. A jednak tak: coś się rzeczywiście stało.

– Jesteś blady jak śmierć.

– Ależ skąd!

– Czy to poważne?

– Bądź cicho, proszę...

Poszła sobie. Być może powinienem był wybiec za nią, ale nie miałem na to odwagi.

„... mam obok siebie słownik angielsko-francuski. Ale nie otworzyłam go ani razu, Jean-Marie. Tak mi się łatwo do pana pisze...

...wyjeżdżam na osiem dni do Szkocji, chwilowo sama, mąż przyjedzie w przyszłym tygodniu. Zatrzymam się w Learmonth Hotel w Edynburgu. To właśnie do niego będzie mógł pan adresować listy do mnie, jeśli będzie pan miał ochotę je pisać. W nim będzie pan mógł mnie spotkać, jeśli...”.

List urwał się nagle. Nie podpisała go nawet. Chciała zakończyć go tym wezwaniem.

## ROZDZIAŁ V

Sądziłem, że Denise czeka na mnie w moim MG zaparkowanym pod jednym z daszków ustawionych obok hotelu, ale nie było jej tam. Ruszyłem wolno w kierunku plaży. Jechałem naszą zwykłą trasą, lustrując uważnie zatłoczone już chodniki. Wreszcie w tłumie zauważyłem Denise. Miała na sobie bladoniebieskie szorty, na tyle krótkie, by jej długie, opalone nogi były łatwo dostrzegalne, a górna część ciała opięta była w białą bluzkę frotte.

Wyprzedziłem ją o jakieś dwa metry i zatrzymałem się.

– Czy gdzieś podwieźć zagonioną śliczną osóbkę?

Stojący nie opodal mnie zamiatacz ulic, nie ukrywając swego podziwu dla mnie, wyprostował się, aby lepiej mi się przyjrzeć. Spojrzał na Denise, zastanawiając się, czy „numer przejdzie”. Przeszedł. Bez słowa, bez zbędnego gestu wsiadła do wozu.

– Dziękuję ci za twoje zachowanie – rzekłem pod nosem, ruszając.

– Wybacz mi.

Było to raczej nieoczekiwane ze strony Denise. Nie znosiła przeproszać, zwłaszcza gdy była winna.

– Jesteś niesamowita – dodałem, aby wyraźniej podkreślić swoją przewagę. – Czy wiesz chociaż, kto do mnie napisał?

– Jakaś Angielka, którą spotkałeś na początku swego pobytu tutaj – odparła. – Jakaś Angielka, która nie mogła się oprzeć twojemu czarowi i która nie może zapomnieć waszych szalonych uścisków.

Nie było w tym złośliwości, tylko odrobina goryczy zazdrosnej kobiety. Z wyjątkiem szalonych uścisków, Denise wszystko odgadła.

– Cała ta sprawa nie jest warta miny, jaką robisz – zapewniłem, głaszcząc delikatnie jej udo.

Opowiedziałem jej o moim spotkaniu z Marjorie. Udawała, że mnie nie słucha, że jedynie interesuje się ruchem ulicznym. Jechaliśmy wolno i długo zatrzymywałem się na skrzyżowaniach. Sprzedawcy gazet ubrani w pasiaste koszulki proponowali różne katastrofy gościom siedzącym na tarasach kafejek. W powietrzu pachniało szafranem i rozgrzanym olejem. Zatrzymaliśmy się przy wesołym miasteczku, obok którego jacyś chłopcy strzelali z elektronicznych karabinów do niedźwiedzi obracających się w szklanych klatkach. Tonem, który wydawał mi się żartobliwy, mówiłem o Marjorie, ale ona interesowała się jedynie tym, jak przynajmniej się zdawało, co się działo w wesołym miasteczku.

– Jak więc widzisz, nie ma powodu do robienia mi sceny.

Spojrzała na mnie. Miała swoisty sposób wgłębiania się w moje najskrytsze myśli. Następnie wyjęła z plażowej torby okulary przeciwsłoneczne i natożyła je. Nie wymieniliśmy już ani słowa aż do samej plaży.

\* \* \*

Bywalcy kafejek w małych miasteczkach nie mają przyzwyczajęń tak silnie zakorzenionych jak użytkownicy plaży. Wydaje srę bowiem, że właśnie nad morzem człowiek nabiera najszybciej przyzwyczajęń. Każdy ma tu swoje miejsce, swój parasol, swój cień, swój grajdoł i swój leżak. Stają się dobrami, do których przywiązujemy się namiętnie. Leżeliśmy w głębi plaży, w pobliżu boiska siatkówki. Nasz parasol był błękitny, leżaki również. Gdy przychodziliśmy, nie rozkładaliśmy od razu parasola. Denise smarowała się olejkiem do opalania, a ja jej pomagałem przy plecach i natychmiast biegłem do kranu, aby umyć ręce, gdyż nie znosiłem tej lepkości na dłoniach. Następnie przyrumienialiśmy się przez jakąś godzinę. Potem ja czytałem gazetę, a Denise opalała się. Gdy uważała, że już dojrzała, otwierała parasol i zaczynała rozmawiać ze mną tym swoim głosem, który mnie tak podniecał.

Tego ranka zapomniałem kupić gazetę, co zakłóciło rytm dnia. Staralem się wtopić w żar, nie myśleć o niczym, ale list Marjorie Faulks stawał mi stale przed oczami. „Wiem teraz, że kraj mój jest wyspą, gdzie żyję na wygnaniu... Bo bez pana...

Przepychając się, nadeszli siatkarze. Byli to wspaniali młodzi chłopcy, którzy oglądali się za wszystkimi kobietami na plaży. Denise miała swojego: wysokiego blondyna, pięknego i głupiego, który zachowywał się tak, jakby spędził całe życie przed lustrem. Przechwaliliśmy go Narcyz. Denise przyznawała, że chętnie by mu uległa, „bo jest tak czarująco brutalny”.

– Widziałas, Narcyz ma znowu inne szorty – szepnąłem.

Wyciągnięta na brzuchu na nie rozłożonym leżaku podniosła głowę i otworzyła oszczędnie jedno oko. Leżała bez ruchu przez dłuższą chwilę. Patrzyłem na omerykańskie okręty zakotwiczone na pełnym morzu. Nie pasowały do tej plaży i do ludzi bawiących się w wodzie.

– Pisz do ciebie po angielsku czy po francusku?

Westchnąłem przeciągle.

– Słuchaj, Denise, chyba nie zaczniesz...

Jej skóra lśniła jak orzech na wysoki połysk. Zaśmiała się cicho.

– Ty i Angielka, to dość... niepojęte. Chyba przyznasz mi rację?

Nie przyznawałem. Poczulem się nagle, jakbym miał co najmniej czterdzieści stopni gorączki, tyle tylko że mi zęby nie szczękały, a zimny pot nie oblewał włosów.

Otworzyłem parasol i doczołgałem się w jego karbowany cień. Zdałem sobie nagie sprawę z niezwyklej rzeczy: to, co było między Denise a mną nie miało już żadnego sensu. Nie mieliśmy ze sobą już nic wspólnego. Dookoła nas trwała codzienna wrzaskliwa zabawa.

W pewnej chwili Narcyz pełnym namaszczenia krokiem, przypominającym chód indora po rozgrzanej blasze, podszedł do nas, aby podnieść piłkę.

– Jakie dziś słońce? – zapytał Denise, starając się być uwodzicielski nawet w tym zdawkowym zdaniu.

Denise nie otworzyła oczu.

– Jest jak pan: podobne do balona! – wycedziła.

Śmiertelnie urażony dryblas odszedł, witany rykiem śmiechu przez kolegów.

– Dlaczego mu to powiedziałaś? – zaprotestowałem.

– Muszę się wyzłościć, to jakoś uspokaja.

– Jesteś zazdrosna?

– Tak.

Wyciągnąłem z kieszeni szortów podarty list Marjorie i rzuciłem go Denise pod nos.

– Przeczytaj, zobacz...

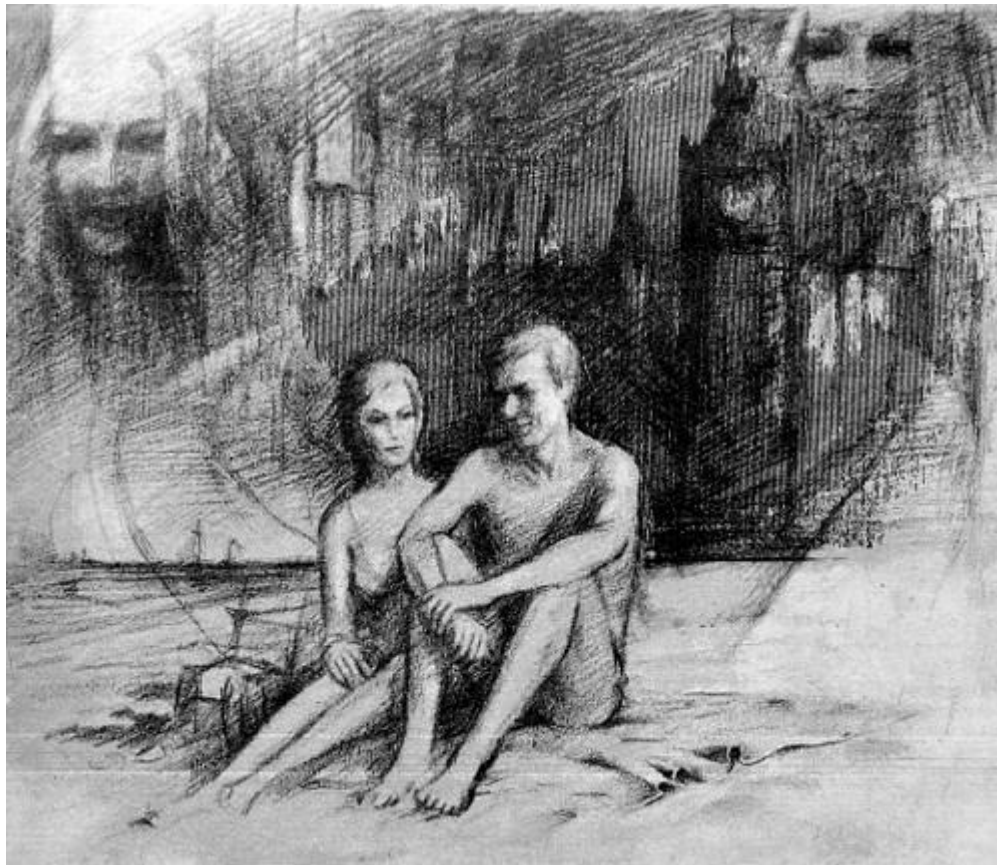
Doskonale wiedziałem, że gest mój nie miał żadnego sensu i był raczej niesmaczny, ale jak wszyscy mężczyźni, którzy kochają kogoś nowego, odczuwałem potrzebę zasięgnięcia opinii porzuconej kobiety.

Przeczytała. Bez pośpiechu, trzymając dokładnie obok siebie oba kawałki rozerwanego listu. Po przeczytaniu listu Denise zwróciła mi go.

– Dziwna dziewczyna! Wydaje mi się dość niezwykła, przynajmniej jak na Angielkę. Ciekawa, romantyczna, nieco tajemnicza, ale z całą pewnością do ciebie przywiązana. Z tego rodzaju osobami wszystko, gdy się to zaczyna, wydaje się cudowne, bo początkowo uważają mężczyzn za istoty nadzwyczajne.

Opanowała mnie fala gniewu.

– Co za psychologia!



– Wiem, co mówię. Przez całe życie marzą o Ivanhoe, a ponieważ bardzo tego pragną, znajdują go. Z biegiem czasu dochodzą do przekonania, że Ivanhoe jest po prostu architektem, że należy do jakiegoś klubu, że chodzi w kapciach, ma bóle gardła, że się goli i prosi o repetę duszonej cielęciny, bo akurat ją lubi. Wówczas koniec złudzeniom... Chciałbyś być Ivanhoe, kochanie? Przyznaj się. Wszyscy mężczyźni są tacy sami... Co zamierzasz robić: jechać do Szkocji?

– Przestań mówić głupstwa, dobrze?

– Ale ona czeka na ciebie, Jean-Marie. Oczekuje cię, czy nie umiesz czytać między wierszami? Nie zostawia się na lodzie kobiety, która w Edynburgu spodziewa się kogoś, kto jest w Juan-les-Pins.

– Posłuchajr Denise, jeśli natychmiast się nie uspokoisz, zrobię coś bardzo przykrego.

Spojrzała na moje ręce ściskające oparcie leżaka i uśmiechnęła się do mnie smutno.

– Zagrajmy lepiej w badmintona, to uspokaja.

– Nie nadeszła jeszcze pora!

– Co pleciesz: bohaterowie nie znają dnia ani godziny!

Grałem bez przekonania. Nie trafiałem w co drugą lotkę. Ten mały opierzony przedmiot, który wirował między nami wydawał mi się okropnie idiotyczny.

W pewnej chwili na skutek zbyt nerwowego uderzenia Denise poleciał bardzo wysoko. Patrzyłem, jak spadając, kręci się bez końca. Moje myśli wirowoły szybciej niż lotka. Pomyślałem sobie: „Jeśli nie podejmę decyzji, zanim dotknie ziemi, to wszystko już skończone”. Lotka wbiła się w piasek jak duża kropla wody. Podniosłem ją, lecz zamiast uderzyć rakieta, oddałem Denise.

– Chodź – wyszeptalem. – Wracajmy. Jadę do Szkocji.

Kiwnęła przytakująco głową. Nie była zaskoczona moją decyzją. Przyjęła ją niemal, z ulgą.  
– Mój biedny Ivanhoe – westchnęła. – Nie możesz sobie wyobrazić, jakimi głupcami są bohaterowie.

## ROZDZIAŁ VI

Tego samego wieczora byłem w Londynie. Myślałem, że również do Edynburga polecę samolotem, ale w Anglii wybuchł właśnie strajk personelu latającego i musiałem zadowolić się pociągiem. Na dworcu King Cross powiedziano mi, że do Edynburga jest nocny pociąg i są w nim jeszcze wolne miejsca, nie potrafiono mi jednak podać dokładnie czasu odjazdu. Ruch strajkowy wydawał się ogarniać cały transport. Nie odchodziły już niektóre podmiejskie pociągi, mówiło się też o przerwach w pracy w innych miastach. Mimo wszystko wykupiłem bilet sypialny, błagając niebiosy, żeby mój pociąg odjechał. Myślałem wyłącznie o Marjorie. Im bardziej odległość między nami malała, tym silniejsza stawała się chęć odnalezienia jej. Było to uczucie potężne, cudowne a bolesne zarazem. Podniecało mnie, a równocześnie wywoływało falę smutku. O Denise myślałem bez najmniejszego uczucia litości.

Odjazd pociągu zaplanowany był na godzinę jedenastą. O wpół do jedenastej stał już przy peronie, ale że był jedyny na całym dworcu, nie budził zaufania. W ogóle atmosfera na stacji była dziwna. Przypominała wojnę. Dookoła panowała drażniąca cisza. Nieliczni kolorowi tragarze, odprowadzając posępnych podróżnych do ich wagonów, kręcili się niemal bezszelestnie. Ulokowałem swoją walizkę w przedziale i – by się uspokoić – zacząłem chodzić po peronie. Kiedy doszedłem do czoła pociągu, zauważyłem że nie ma lokomotywy.

Postanowiłem, że jeśli pociąg nie odjedzie, poszukam na tę noc pokoju, a rano wynajmę jakiś wóz. Jak długo trzeba jechać do Edynburga? Może ze dwa dni. Wiedziałem, że angielskie drogi są wąskie, a ruch na nich powolny.

Za kwadrans jedenasta zjawiała się lokomotywa. Jej sapanie wypełniło stację cudownym hałasem. Pociąg zadrżał, stuk zderzaków rozlegał się w nieskończoność. Wyruszyliśmy dokładnie o jedenastej.

Coraz szybciej wzdłuż torów zaczęło uciekać brzydkie i mokre przedmieście, o konturach narysowanych tuszem. Gdy do oka wpadła mi wilgotna sadza, podniosłem szybę. Wiedziałem, że ruszyliśmy na dobre.

\* \* \*

Spałem jeszcze głębokim snem, gdy do drzwi zapukał konduktor. Był to chudy i antypatyczny facet, o trójkątnej twarzy. Jego ciemnoczerwona kurtka była poplamiona sadzami.

– Jest szósta, sir. Za godzinę będziemy w Edynburgu!

Podawał mi tacę z bardzo skromnym śniadaniem. Kawa była blada i bez smaku, a suchar, gdy wbiłem w niego zęby, rozpadł się w pył. Zapach zakurzonej pościeli, zardzewiałych kranów i sadzy, a także rozkołysany, zatopiony w deszczu krajobraz, nie stępiły mojego entuzjazmu. Za godzinę będę w Edynburgu. Odnajdę Marjorie Faulks. Ivanhoe! Denise nie myliła się: rzeczywiście odgrywałem rolę bohatera niosącego Marjorie miłość i oparcie, których się po mnie spodziewała.

Edynburski dworzec położony jest w jakimś wielkim dole, toteż panoramę miasta mogłem objąć spojrzeniem dopiero wówczas, gdy taksówka którą jechałem wydobyła się z niego. Ciemne, surowe, groźne, zbudowane z ponurego granitu miasto wydawało się wyłaniać z przeszłości. Myślę, że właśnie w tym momencie przeczułem dramat, który miał nastąpić.

Taksówka jechała wzdłuż Princes Street, która jest dla Edynburga tym, czym Pola Elizejskie dla Paryża. Jest to szeroka arteria, wzdłuż której wyrosły nowoczesne budynki, stojące naprzeciw głębokiej doliny zamienionej w ciąg parków publicznych. Zza tej doliny wyłania się skalisty szczyt, na którym stoi stary Edynburg ze swoją czarną, ponurą fortecą i starymi armatami na blankach.

Taksówka opuściła Princes Street i jej sklepy, aby zanurzyć się w inną dolinę. Minęliśmy

jakiś most i wjechaliśmy na zadrzewioną arterię, która przestawała być aleją, ale jeszcze nie była szosą. Piętrowe, czerwone autobusy jechały jeden za drugim. Taksówka ostro zakręciła i zatrzymała się za luksusowym turystycznym autokarem ze szwedzką rejestracją. Kręciły się wokół niego starsze ufryzowane panie, które prowadziły ożywione rozmowy ze zdziecinniałymi z trudem poruszającymi się starcami.

Odczytałem napis na frontonie odpychającego budynku, wyglądającego na gmach użyteczności publicznej. Anemiczny neon zawiadamiał, że mieści się w nim „Learmonth Hotel”.

Tutaj, w tej fortecy z czarnego granitu, była ona. Serce zaczęło mi walić. Myśl, że zaraz ją zobaczę, wywołała dreszcz emocji.

Miałem już przekroczyć próg hotelu, gdy zjawił się Szkot w zielonym kilcie i czarnej bermycy. Sądziłem, że to jakiś wojskowy. Nosił ciężką pelerynę i trzymał oburącz brzuchatą, najeżoną czarnymi rożkami kobzę.

Kobziarz stanął w drzwiach i zaczął grać jakąś ludową melodię. Te nosowe dźwięki wydały mi się być hymnem powitalnym. Szwedzcy turyści byli zachwyceni i puścili w ruch aparaty fotograficzne. Mając nadzieję, że w którymś oknie ujrzę twarz Marjorie, spojrzałem na surową fasadę hotelu. Ale goście „Learmonth Hotel” musieli być zwykłymi nudziarzami, bo żaden nie wyjrzał.

Muzyka się urwała, kobziarz podszedł do mnie i sięgnął stanowczym gestem po mój bagaż. Ten wysoki mężczyzna o czerwonych włosach i bezbarwnych oczach okazał się portierem hotelu.

Poprowadził mnie przez hol. Mimo licznych podróży takiej recepcji jeszcze nie widziałem. Podłoga była przykryta dywanem w szkocki wzór, przy czym każde pasmo kraty było inne. Podobnie tapeta. Było to tak oszałamiające, że kameleon na tle takiej pstrokacizny musiałby zwariować. Te barwne fale przecinała lada w kształcie dziobu statku. Natomiast właściciel tego wszystkiego przypominał mojego gospodarza z hotelu w Juan. Tyle tylko że był bardziej okrągły, bardziej różowy i bardziej łysy. Przyjął mnie z pewną rezerwą: klient, który nie zamówił pokoju i zjawia się o siódmej nad ranem lekko go zaniepokoił. Ani opalenizna, ani jasny garnitur, który tu był nie do noszenia, absolutnie nie pasowały do otoczenia.

Dał mi jednak pokój, zaznaczając, że będzie wolny trochę później. Miałem ochotę go prosić o połączenie z Marjorie, ale w ostatniej chwili się wstrzymałem. Przypomniałem sobie, że miał tu do niej przyjechać, mąż, i nie chciałem jej skompromitować. Ułożywszy walizkę pod jakąś ławką, czekałem na porę breakfastu. Po godzinie zaczęli schodzić do jadalni goście hotelowi. Przeważnie byli to ludzie w podeszłym wieku i pojąłem, że „Learmonth” współpracuje głównie z biurami turystycznymi. Doszedłem do przekonania, że wycieczki składają się wyłącznie z wdów, starych panien i niedołączonych par. Pod hotel podjeżdżały coraz to nowe autokary i za każdym razem wychodził do nich kobziarz, aby zagrać nowo przybyłym. Stawałem się coraz bardziej niecierpliwy. Czyż po takiej podróży siedzenie tu na ławce i czekanie na kobietę, do której przybyłem z tak daleka, nie było czymś idiotycznym?

Udałem się do dining-roomu i zamówiłem jajka na bekonie. Ogromna sala przypominała jadalnię pensjonatu. Stare Amerykanki wrzeszczały jak przestraszone perliczki, a od czasu do czasu – nie wiadomo czemu – wybuchały głośnym śmiechem. Starszy mężczyzna, najwyraźniej pochodzący z Teksasu, który na głowie miał słomkowy kapelusz z nieprawdopodobnie wielkim rondem, a w uchu jakiś skomplikowany aparat słuchowy, pałaszował małą łyżeczką porcję owsianki. Mleczna papka kapłała na jego ręcznie malowany krawat. Ten podstarzały kowboj wyglądał pociesznie, ja jednak nie miałem ochoty nawet się uśmiechać. Byłem niespokojny. Podejrzywałem, że Marjorie musiało się coś przydarzyć.

Wróciłem do pstrokatego holu. Na jednej ze ścian wisiała wielka drewniana tablica, którą przecinały krzyżujące się taśmy w szkockie wzory. Pracownicy recepcji układali według im tylko znanego porządku listy. Zacząłem nerwowo szukać nazwiska Marjorie. Byłem prawie pewien, że go nie odnajdę.

Jednak odczytałem je. Na wysłanym przeze mnie poprzedniego dnia z Juan-les-Pins telegramie, którego nikt jeszcze nie odebrał.

## ROZDZIAŁ VII

Ten niepozorny biało-niebieski prostokąt przeraził mnie niczym zawiadomienie z żalobną obwódką. Świadczył tak wymownie i tak przejmująco o nieobecności Marjorie, że pojawiły mi się łzy w oczach.

I prawie natychmiast pomyślałem, że może nie chodzi o mój telegram. Wtedy uczyniłem rzecz niesłychanie niedelikatną: otworzyłem przesyłkę. Przeżyte rozczarowanie ukarało mnie za tę zuchwałość.

„Kochanie, przyjeżdżam  
Jean-Marie Valaise”.

Zwięzłość tekstu, który brzmiał jak zwycięski okrzyk, wydała mi się teraz złowieszczą. Zawstydzony i zrozpaczony, złożyłem telegram z powrotem i umieściłem na poprzednim miejscu. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. W tym hotelu panował większy ruch niż na dworcu autobusowym. Tłumy ludzi z bagażami kłębiły się w holu. Nagle nacierały na jakiś autokar, z którego wysiadali, witani jęklivymi dźwiękami kobzy, nowi przybysze.

Zauważył mnie właściciel hotelu i podniósł rękę. Podbiegłem pełen nadziei.

– Pokój pana jest wolny, sir.

Tylko o to chodziło. Zjawił się zaraz portier-kobziarz, który chwycił moją walizkę i poprowadził mnie ku schodom. Szedł przede mną, sapiąc jak drwał przy pracy.

Z mego monstrualnych rozmiarów pokoju, można było, przy odrobinie fantazji architekta, wygospodarować trzyizbowe mieszkanie. Do sufitu było ze cztery metry, a parapet okna znajdował się na wysokości piersi. Pokój mnie przytłaczał, a szkocka makieta oraz pstrokata tapeta wywoływały torsje. Usiadłem ciężko w fotelu i zacząłem się zastanawiać nad sytuacją.

Marjorie musiała zapewne odłożyć swój wyjazd do Szkocji. Prawdopodobnie zawiadomiła mnie o tym, ale wyjechałem, zanim jej list dotarł do mnie. Jakie kroki podjąć? Może zatelegrafować do Londynu na poste-restante, prosząc o wyznaczenie mi spotkania? Nic innego, co mogłoby doprowadzić do skontaktowania się z nią, nie przychodziło mi do głowy. Nagle ogarnęła mnie nowa fala nadziei: może mój telegram dotarł z opóźnieniem i trafił do hotelu dopiero dziś rano? Może Marjorie jeszcze śpi po drugiej stronie ściany! A może wczoraj zapomniała spojrzeć na tablicę z listami... Możliwe było również, że nie dotarła do Edynburga. W liście pisała co prawda o wyjeździe do Szkocji, ale nie określała dnia. Czy uda się jej prędko przyjechać, skoro strajk transportowców wydaje się rozszerzać? Zszedłem znowu do recepcji.

Na dole ustał ruch autokarów i hol był pusty. Recepcjonista, siedząc za szybą, pił herbatę.

– Przepraszam pana – rzekłem – czy wśród gości znajduje się pani Marjorie Faulks z Londynu?

Chrupał wolno jakieś ciasteczka, które moczył w filiżance. Skończył jeść, zrobił jakiś ruch ręką, sięgnął po rejestr gości i zaczął uważnie czytać. Przez cały czas oczyszczał sobie dziąsła językiem.

– Jest tutaj od dawna?

– Najwyżej od dwóch dni...

Jego wskazujący palec zaczął szybko przemierzać kolumny nazwisk, aż doszedł do białej kartki.

– Nie, proszę pana, nie mam tego nazwiska.

– W takim razie pani Faulks musiała zamówić pokój i zaraz się zgłosi.

Podsunał księgę; sądziłem, że po to, abym mógł sam sprawdzić, ale jemu chodziło o to, żebym wpisał swoje nazwisko i adres. Skorzystałem z okazji i jeszcze raz przejrzałem listę gości przybyłych w ciągu ostatnich dwu dni. Nie był z tego zadowolony i rzucił mi niechętnie spojrzenie.

– Czy zechciałby pan sprawdzić w księdze zamówień? – powiedziałem.

Rozłożył o wiele mniejszy zeszyt i szybko przebiegł go wzrokiem.



- Czy ta pani wchodzi w skład jakiejś wycieczki?
  - Nie, nie sędzę.
  - A zatem nie mam żadnych indywidualnych zgłoszeń.
  - Przecież jest do niej telegram – zaprotestowałem...
- Zbliżyłem się do tablicy z wyciągniętym palcem, ale telegramu już nie było...

\* \* \*

Zacząłem jak w transie sprawdzać każdą przesyłkę. Może włożyłem telegram pod jakąś kopertę? Zaglądałem po kolei pod każdy list. Recepcjoniście wyraźnie się to nie podobało, co dał mi do zrozumienia podchodząc do mnie w pobliże tablicy.

– Niespełna dziesięć minut temu znajdował się tu telegram przeznaczony dla pani Marjorie Faulks – powiedziałem z naciskiem. – Kto rozdziela pocztę?

– Ja, proszę pana.

– A zatem musi pan pamiętać, że był telegram. Nadszedł wczoraj...

– Wczoraj nadeszło sporo telegramów, proszę pana.

Oblewał go powoli rumieniec, a wzrok jego stawał się nieruchomy.

– Niech pan sobie przypomni...

– Mój hotel stanowi tylko jeden z wielu etapów turystycznego szlaku gości, proszę pana. Nie jestem w stanie zapamiętać wszystkich, a zwłaszcza ich nazwisk. Codziennie mamy ich ponad setkę, a zostają tylko na jedną noc. Listy ustawiamy na widocznym miejscu, nie interesując się nazwiskami adresatów.

Czułem, że za chwilę wybuchnie i uśmiechając się do niego ze skruchą, starałem się go uspokoić.

– Rozumiem. Proszę mi wybaczyć. Jest jednak faktem, że telegram, o którym mówię, znajdował się w tym miejscu jeszcze kwadrans temu, a teraz go nie ma. Kto go zabrał, jeśli nie ma pani Faulks?

Hotelarz był człowiekiem myślącym logicznie i logika mojego rozumowania zrobiła na nim wrażenie. Wsadził język pod dolną wargę napinając w ten sposób skórę brody. Był świeżo ogolony i pachniał dobrym mydłem.

– Przypuszczam, proszę pana, że pani, o której mowa, zamierzała zatrzymać się w naszym hotelu. Ale wczoraj w „Learmonth” nie było ani jednego wolnego miejsca. Przypuszczalnie poszła gdzie indziej, a dziś rano przyszła odebrać swoją korespondencję. To się często zdarza.

Miałem ochotę go ucałować. Musiało być tak, jak mówił!

– Siedział pan przed chwilą w recepcji, może więc zauważył pan młodą kobietę o kasztanowych włosach?

– Może zauważył pan, proszę pana, że w holu było pełno ludzi?

– A wczoraj? Jeśli wczoraj przyszła tutaj, żeby zamówić pokój, nie mógł pan jej nie spostrzec!

Zastanowił się wypychając językiem lewy policzek.

– Nie przypominam sobie, żebym kogoś takiego zauważył, proszę pana. Ale nie siedzę cały dzień za okienkiem. Zapytam żonę, gdy zejdzie.

– Dziękuję panu.

Na niskim stoliku leżały stosy folderów o Edynburgu. W jednym z nich znalazłem opis najważniejszych hoteli miasta. Zabrałem go i wyszedłem.

Dopiero co przestało padać, a nieśmiałe północne słońce, blade i zamglone, odbijało się niewyraźnie w błyszczących jezdniach. Przez chwilę czekałem, aż nadjedzie jakaś taksówka. Gdy przekonałem się, że czekam na próżno, wsiałem do autobusu, którego trasa wiodła do centrum.

Odwiedziłem wszystkie hotele, które figurowały w folderze. Zabrało mi to co najmniej trzy godziny, a rezultat był żaden. Nigdzie nie widziano Marjorie Faulks, nigdzie też o niej nie słyszano. Byłem śmiertelnie znużony i przybity tajemniczością sytuacji. Wszystko wyglądało na monstrialny kawał.

Kiedy przekraczałem próg hotelu „Learmonth”, miałem nadzieję, iż uzyskam jakąś informację. Okazało się jednak, że nikt mnie nie prosił, a żona właściciela hotelu, drobna kobieta o czarnych włosach i srogiej twarzy osoby mocno zajętej, zapewniła mnie, że żadna kobieta odpowiadająca rysopisowi Marjorie nie zamówiła poprzedniego dnia pokoju. Również nazwisko Faulks nic jej nie mówiło.

## ROZDZIAŁ VIII

Co za koszmary dzień!

Gubiąc się w domysłach, wlokłem się wzdłuż nędznych wystaw sklepowych Princes Street, na które spoglądałem obojętnym okiem. Wszystko wydawało mi się brzydkie i ponure: przechodnie i budynki, przedmioty i pogoda. Deszcz padał falami. Zaczynał nagle i równie nagle ustawał, przy absolutnym braku jakiegokolwiek rozpogodzenia!

Wydawało mi się, że słyszę dochodzący z pochmurnego nieba bulgot podobny do tego, jaki wydobywa się ze starych rur kanalizacyjnych. Nic nie było w stanie oderwać mnie od moich myśli, nawet spacerujący chodnikami wojskowi w szkockich strojach.

W ogrodach przy Princes Street, na dnie doliny oddzielającej nowe miasto od starego, w takt ludowej muzyki tańczyły jakieś pary. Większość miała na sobie niemal identyczne, różniące się tylko barwarhi tartanu, stroje narodowe. Spacerowicze gromadzili się w amfiteatrze, żeby się im przyglądać. Na skraju estrady kobieta o zaokrąglonych kształtach i wyglądzie podstarzałej harcerki głosem stanowczym i chropawym rzucała przez mikrofon jakieś polecenia.

Po prawej i lewej stronie tego teatru rozciągały się dobrze utrzymane trawniki, których soczysta zieleń przełamana była klombami kwiatów. Po każdym rozpogodzeniu tłumy rzucały się na trawę, na której uprzednio rozłożyły swoje płaszcze. Zakochani, nie zważając na spacerujących po wąskich asfaltowych ścieżkach przechodniów, ściskali się bezwstydnie.

O ósmej wieczorem pogoda zaczęła być prawie ładna. Zrobiło się nagle tak jasno, iż można było pomyśleć, że jest trzecia po południu. Wstałem do restauracji. Dosłownie umierałem z głodu. Zakład miał dwie sale – na parterze i na piętrze – ale o tej porze czynne było tylko piętro. Zająłem miejsce przy małym stoliku obok szerokiego okna, z którego widziałem całą Princes Street.

W słońcu błyszcząły trawniki i złociły się blanki cytadeli. Dlaczego Marjorie nie siedziała naprzeciwko mnie? Co mogło się stać? Kto zabrał telegram z tablicy w hotelu „Learmonth”?

Szorstka, stara i brzydka kelnerka przyjęła zamówienie. Miałem ochotę na świeżego łososia i „lamb with mint sauce”.

Jedzenie było bez smaku, a frytki, które towarzyszyły baraninie, były dosłownie surowe. Zalałem wszystko ketchupem wmawiając sobie, że mimo wszystko jest to jadalne. Inni goście restauracji siedzieli bez ruchu. Byli posępni i niemi, a gdy zwracali się do kelnerów, czuli się w obowiązku mówić szeptem jak w kościele. Ich obecność ciążyła mi. Wołałem patrzeć na groźną perspektywę Princes Street, na ciąg budynków, na szeroką jezdnię, po której sunęły piętrowe autobusy, na pochyłe ogrody, na dnie których wystrojone pary dolej tańczyły kadryle o skomplikowanych figurach. Jedyna zabawna rzecz w tym ponurym krajobrazie to pasażerowie autobusów, a przynajmniej ci, którzy siedzieli na ich piętrach. Gdy przyjeżdżał autobus, znajdowali się na tym samym poziomie co ja i swoim wyładem przypominali niedźwiedzie w szklanych klatkach z Juan-les-Pins.

Ruch na tej szerokiej arterii był spory. Autobusy jechały jeden za drugim, tak jakby dopiero co opuściły zajezdnie. Nagle podskoczyłem. W orzodzie ciemnoczerwonego autobusu zauważyłem Marjorie. Podniosłem się tak gwałtownie, że wyrzuciłem na obrus butelkę piwa. Machając rękami, przywarłem do panoramicznej szyby. Niestety, od Marjorie dzieliła mnie przestrzeń i hałas Princes Street. Siedząca kobieta, mimo że autobus zatrzymał się przed czerwonym światłem, nie zauważyła mnie.

Miała na sobie czarny płaszcz przeciwdeszczowy, błyszczący jak skóra morskiego Iwa, a włosy były związane aksamitną wstążką. Patrzyłem na nią bezradnie, przeżywając prawdziwe

katusze.

Stałem zaledwie dziesięć metrów od niej, ale nie było siły, aby mnie zauważyła. Autobus ruszył. Nie było mowy, żebym zdążył zapłacić rachunek, zbiec na dół i dogonić opasły pojazd. A może taksówkę? Jeden rzut oka wyjaśnił mi wszystko: na postoju nie było żadnej. Pozostało mi tylko zapamiętać numer autobusu. Była to dwunastka.

Sledziłem go dalej wzrokiem. Z daleka wyglądał, z powodu zaokrąglonego dachu, jak ogromny chrząszcz. Kelnerka wycierała rozlane piwo; jej powolne i ociężałe ruchy przyjąłem jak niemą wymówkę. Miała szare zaczerwienione oczy, a jej rzadkie rzęsy trzepotały, gdy na nią patrzyłem. W restauracji panowała głęboka, wroga cisza. Poprosiłem o rachunek. Miałem na niego czekać dość długo, co wyraźnie ucieszyło kelnerkę.

\* \* \*

O tej porze wszystkie sklepy były zamknięte zamierał ruch uliczny; Princes Street pogrążała się w senność niedzielного wieczoru. Było jasno jak za dnia – słońce świeciło na bezchmurnym niebie – ale miasto już zasnęło. Wielkie budynki z czarnego granitu wyglądały jak gigantyczne mauzolea. Nikogo już nie było w zielonym amfiteatrze, nie było widać żadnych turystów na esplanadzie obok zamku, tak jakby nagle ogłoszono alarm i wszyscy pochowali się w schronach. Dręczyło mnie uczucie bliskiego niebezpieczeństwa, tym groźniejszego, że nie byłem w stanie określić, jakiego może ono być rodzaju.

Zatrzymałem się przy najbliższym przystanku autobusowym; prawie wszystkie linie miasta krzyżowały się w tym newralgicznym punkcie. Przystanąłem w miejscu, przy którym zatrzymywała się „dwunastka” i uzbroiłem się w cierpliwość.

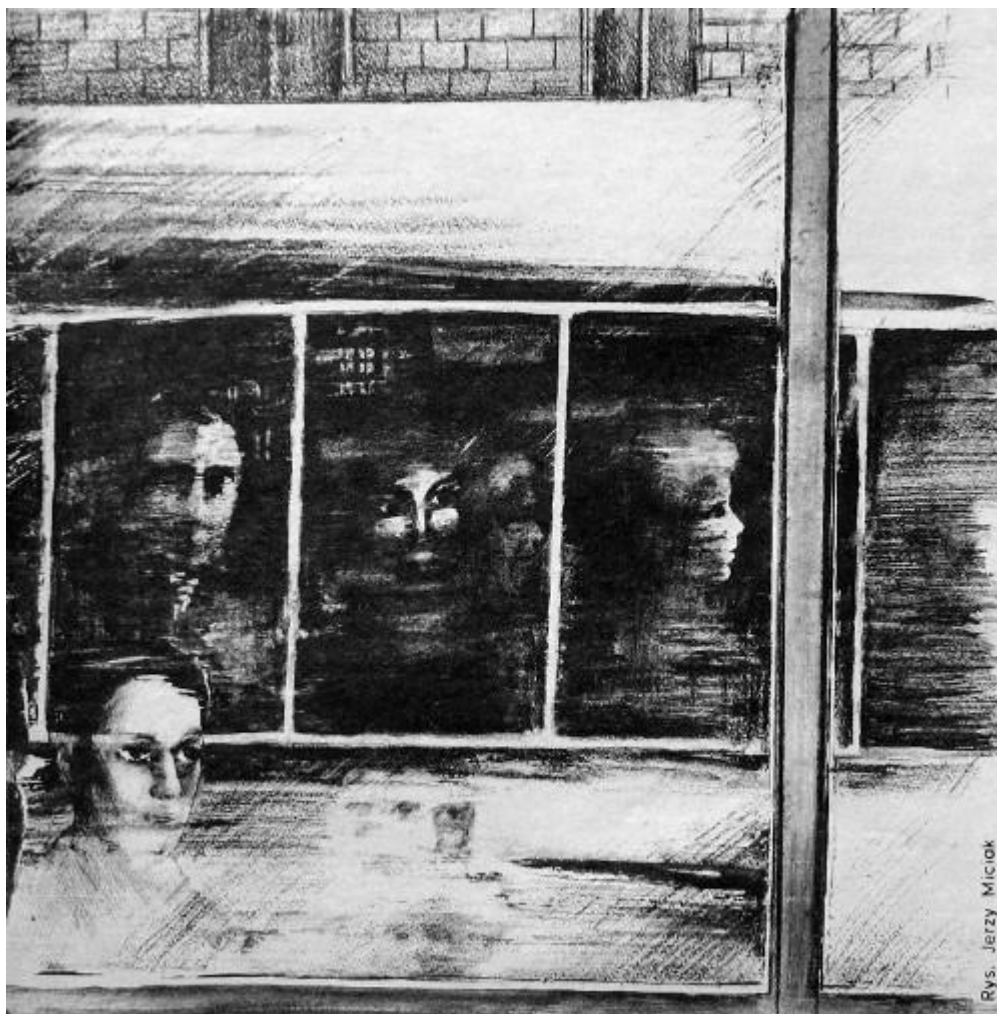
Po dziesięciu minutach zatrzymał się przy mnie prawie pusty pojazd. Stanąłem na platformie, tuż obok konduktora. Oznajmił, że wieczór jest „lovely”, ale ponieważ nie miałem najmniejszej ochoty na pogawędkę, odpowiedziałem mu, że nie rozumiem po angielsku.

Autobus posuwał się szybko. Miasto składało się z samych wzniesień i zjazdów. Jechałem po szerokich i pustych arteriach, otwierając szeroko oczy na granitowe ściany, łudząc się, że w którymś oknie ujrzę Marjorie. Zamiast radować się z wiadomości, że przebywa ona w Edynburgu, umierałem z niepokoju. W chwili, gdy ujrzałem ją na górnym pokładzie autobusu, myślałem tylko o jednym: aby zwróciła na mnie uwagę. Ale teraz, odtwarzając spokojnie tamtą scenę, uderzało mnie to, że wyglądała na przygnębioną. Widziałem ją tylko przez trzydzieści sekund, i to z dość daleka, wystarczyło jednak, żebym zarejestrował w pamięci wyraz zatroskania. Czułem, że *ma do czynienia z czymś groźnym*. Z czymś, co zmusiło ją do zmiany własnych planów. Gdzie mogła teraz przebywać? Chciałem biec trasą dwunastki, wykrzykując co dziesięć metrów jej imię. Im dalej jechał ciężki pojazd, w którym siedziałem, tym większy ogarniał mnie niepokój.

Posuwaliśmy się teraz przez ponure przedmieście pełne fabryk, zbiorników gazu i niskich zabudowań. Sklepy stawały się coraz rzadsze. Jakies tory kolejowe przecinały jezdnię, łącząc bramy z fabrycznymi dziedzińcami...

Dwunastka zatrzymała się. Sądziłem, że to kolejny przystanek, ale wszyscy wysiadali. Ostatni pasażerowie wyglądali skromnie, nosili czapki, które dawno wyszły z mody. Trzymali w ręku walizeczki, w których nosili śniadanie. Zmęczenie przebijało się szarymi plamami przez ich rudy zarost.

– To już pętla, sir.



## ROZDZIAŁ IX

Idąc trasą dwunastki, do centrum wróciłem pieszo. Od miejsca, w którym wsiadłem do autobusu, do jego pętli było siedem przystanków. Odwoływałem się do jakiegoś iluzorycznego szóstego zmysłu, starając się zgadnąć, gdzie ona mogła wysiąść.

Odrzuciłem odlotnie trzy przystanki, gdyż znajdowały się zbyt daleko na przedmieściach. Od miejsca, w którym domy zaczęły wyglądać przyzwoicie, podjąłem uważną obserwację każdej fasady mając nadzieję trafić na jakiś hotel, który mogłem pominąć w czasie porannej „rundy”. Znalazłem jeden, ale był to raczej pensjonat niż hotel. Mimo to postanowiłem zadzwonić. Otworzyła mi starsza kobieta o błękitnych włosach i lękliwej postawie. Miała okulary o grubych szklach, które powodowały, że miałem wrażenie, iż patrzy na mnie wielka żaba. Oświadczyła mi zaraz, że wszystko jest zajęte. Zapytałem, czy mieszka u niej pani Marjorie Faulks, a ona zapewniła mnie, że nie.

Reszta drogi była wyjątkowo nużąca. Zatrzymywałem się przy każdym domu stojącym przy trasie, a ponadto penetrowałem wszystkie sąsiednie ulice. Było to zajęcie męczące i przygnębiające, ponieważ nie miałem już żadnych złudzeń co do wyników poszukiwań. Nie sposób odnaleźć młodą kobietę o dziesiątej w nocy na pustych ulicach Edynburga. Im bardziej ciemności opanowywały miasto, tym ciemniejsze, bardziej nieludzkie i odpychające stawały się mijane kamienice. Mimo, że niebo było jeszcze jasne, paliły się już lampy uliczne. Po biegnących w dół ulicach hulał wiatr z Morza Północnego; po każdym jego podmuchu tłusty bruk pokrywał się kropelkami wilgoci; nie był to prawdziwy deszcz, raczej pył wodny z pobliskich fal.

Nie miałem już czego oczekiwać od tej kamiennej samotni. Mury, które więziły Marjorie, nie rozstąpią się dziś wieczorem.

\* \* \*

Właścicielka „Learmonth Hotel” siedziała w hotelu i czytała jakąś powieść w sztywnej okładce. Dookoła panował spokój. Kobziarz, podwinąwszy rękawy, rozpakowywał skrzynię Ginger Wine, ustawione wokół niego butelki z czerwonymi główkami wyglądały jak kręgle.

Poprosiłem o klucz. Nie pamiętałem numeru pokoju i gospodyni musiała zajrzeć do księgi gości.

– Ktoś pytał o pana! – oświadczyła mi. Wyprostowałem się nagle.

– Pani Faulks?

– Nie, jakiś mężczyzna.

Zatkało mnie.

– Jak wyglądał?

– Nie wiem, bo dzwonił.

– To był Francuz?

– Nie, proszę pana.

– Jak się nazywał?

– Nie podał swego nazwiska, proszę pana.

– Zostawił jakąś wiadomość dla mnie?

– Żadnej.

– Czy zadzwoni jeszcze?

– Tego nie powiedział.

Podawała mi klucz. Miałem numer czternasty.

Nie mogłem odejść od swej rozmówczynie. Ta nowa tajemnica wprawiła mnie w osłupienie.

– Czy ten mężczyzna wymienił moje nazwisko?

Popatrzyła na mnie zdumiona.

– Oczywiście, proszę pana.

– Chciał ze mną rozmawiać?

– Właściwie to chciał wiedzieć, czy pan się zatrzymał w naszym hotelu.

– O której telefonował?

– Po południu, ale nie jestem w stanie powiedzieć która to była dokładnie, sir.

O co więcej mogłem ją pytać? Od momentu przyjazdu miałem wrażenie, że drażnię Szkotów. Nie tak dawno ta starsza kobieta o błękitnych włosach spojrzała na mnie poprzez swoje monstrualne okulary wzrokiem pełnym grzecznej nagany. A jeszcze przedtem, w restauracji, kelnerka, która wycierała wylane przeze mnie piwo, dawała mi na swój sposób do zrozumienia, że moje miejsce nie jest tutaj. A konduktor dwunastki, który trochę pogardliwie rzucił w moją stronę: „To już pętla, sir”. Na ogół wzbudzam dość szybko sympatię ludzi. Dlatego też stanowiło to dla mnie coś w rodzaju tajemnicy.

Kupiłem jakąś angielską gazetę. Leżało ich kilka na kontuarze recepcji. Groźny tytuł informował o strajku generalnym wszystkich transportowców Wielkiej Brytanii.

Zatem byłem uwięziony w Edynburgu na czas nieokreślony.

\* \* \*

Kiedy się zbudziłem, stwierdziłem, że pokój jest zalany słońcem, i przez chwilę myślałem, że jestem w Juan-les-Pins. Wrażenie było tak silne, że zacząłem szukać Denise po prawej stronie łóżka. Ale Denise spała o jakieś dwa tysiące kilometrów stąd.

Była zaledwie siódma i dla Szkocji rozpoczął się cudowny letni dzień. Za gigantycznym oknem, nad niemal czarnymi dachami jaśniało śródziemnomorskie niebo, bez ani jednej chmurki. Wyciągnąłem z tego wnioski, że teraz wszystko się ułoży, że wyjaśnią się wszelkie tajemnice, że przed dwunastą będę mógł trzymać Marjorie w ramionach.

Z ulicy dobiegał nosowy dźwięk kobzy, oznajmiający, że przyjechał nowy autokar pełny

turystów. Wziąłem prysznic i zamówiłem dzbanek czarnej kawy. Nie miałem odwagi spotkać się w dining-roomie ze starymi, wyfiokowanymi ladies.

Po godzinie, odświeżony i wypoczęty, pełny energii i nadziei, wsiałem na Princes Street do autobusu numer 12.

Tym razem był w nim ścisk. Miasto wydawało się dziś weselsze. Nie było już tego nagromadzenia surowego i ponurego granitu, które przygnębiało mnie poprzedniego dnia, miałem teraz do czynienia z malowniczym miastem stawiającym czoło minionym stuleciom i patrzącym ufnie w przeszłość. Zamiast zająć miejsce na platformie autobusu, co powodowało, że stawałem tyłem do kierunku jazdy, a ulice uciekały przede mną, poszedłem na górny pokład, gdzie udało mi się znaleźć miejsce akurat tam, gdzie wczoraj stała Marjorie. Chodniki widziane z góry stawały się ciekawsze, a sam mogłem uczestniczyć w życiu mijanych kamienic. Nadal wypatrywałem hotelu, który mógł ujść moim wieczornym poszukiwaniom: nie było takiego wzdłuż całej trasy.

Przez wysokie okna widziałem mężczyzn rozebranych do pasa i kobiety w szlafrokach. Migwały mi surowe wnętrza i wesołe mieszkania w stylu rokoko, zatrzymywałem w pamięci przelotne wizje, dzięki którym miasto stawało mi się bliższe. Przed frontowymi drzwiami umundurowani doręczyciele stawiali butelki mleka. Czerwone auta pocztowe, podobne do strażackich wozów, jeździły zygzakiem od jednego chodnika do drugiego, a na ich drzwiach błyszczały w słońcu złote inicjały królowej Elżbiety II. Podróżni zwracali się do siebie tym samym radosnym zdaniem: „Lovely day today”.

Słońce uderzało do głowy jak upajające lekkie wino. Po kilku przystankach zwróciłem uwagę na szyldy: „Bed and breakfast”. Nie zauważyłem ich poprzedniego dnia.

Było to dla mnie objawienie: ludzie przybywający do Edynburga nie muszą przecież mieszkać wyłącznie w hotelach. Tak jak w niektórych regionach turystycznych Francji, również tutaj ludzie wynajmują pokoje! Bed and breakfast! Łóżko i poranne śniadanie... Wysiadłem z autobusu. Znajdowałem się o trzy przystanki od Princes Street. Chcąc działać racjonalnie, powinienem był wrócić do miejsca, z którego wyruszyłem, aby sprawdzić wszystkie „Bed and breakfast”, ale byłem za bardzo zniecierpliwiony, aby logicznie zacząć poszukiwania.

Zadzwoniłem do pierwszych napotkanych drzwi, nad którymi widniała tablica. Otworzył mi je jakiś wysoki facet o końskiej twarzy.

– Przepraszam, czy nie zatrzymała się u pana...

Z piętnaście razy zadawałem to samo pytanie. Nie była to właściwa pora do tego rodzaju odwiedzin, nawet ludzi, którzy wynajmowali pokój po jakimś zmarłym krewnym czy po synu w wojsku. Dawali mi to szorstko do zrozumienia zatrzasnąc drzwi:

– Nie ma u nas pani Faulks, proszę pana!

Postępując dalej tak, stanę się niebawem ośrodkiem zainteresowania całego Edynburga, ale przyznaję, że te uparte poszukiwania podniecały mnie. Wdzieranie się nad ranem do cudzych mieszkań, możliwość rzucenia okiem na ciemne wyłożone boazerią korytarze, w których migotały miedziane naczynia na doniczki i stare ryciny, wywoływały we mnie uczucie niemal zadowolenia. Wsluchiwałem się w bulgoty dochodzące z łazienek i płacz marudzących nad ranem dzieci. Niekiedy zjawiała się w szparze drzwi ciekawsza twarz nieuczesanej kobiety.

– Nie, proszę pana, pani Faulks nie mieszka u mnie!

Z jednego domu wyskoczył zły buldożek, który gdyby nie to, że gospodyni przytrzymała go za obrozę, byłby mnie rozszarpał. Przez cały czas, gdy z nią rozmawiałem, pies wściekle ujadał.

Rozpocząłem swoje poszukiwania idąc z powrotem, w kierunku Princes Street. Zakładałem, że jeśli Marjorie zatrzymała się w jednym z tych „Bed and breakfast”, musiała to zrobić w pobliżu centrum.

\* \* \*

Początkowo liczyłem domy, do drzwi których dzwoniłem, ale po pewnym czasie straciłem rachubę.

Ten, do którego teraz się zbliżałem, wyglądał okazałe i zachował elementy świadczące o tym,

że należał kiedyś do kogoś zamożnego. Po obu stronach schodów prowadzących do drzwi, szerszych od dotychczas odwiedzanych, wisiały dwie błyszczące lampy z miedzi. Tablica oferująca pokoje była prawie niewidoczna, bo miała zbyt małe wymiary. Zapewne gospodarz, a raczej gospodyni wstydziła się, że musi uciekać się do tego sposobu powiększania swoich dochodów. Wyobraziłem sobie, że chodzi o jakąś zrujnowaną damę, albo o godną szacunku wdowę, upierającą się przy zachowaniu domu, którego utrzymanie było zbyt kosztowne.

Zadzwoniłem i prawie natychmiast usłyszałem nerwową bieganinę za drzwiami, a następnie głucho uderzenie o nie. Ktoś niepewną ręką zaczął manipulować przy zamku i po chwili uchyliło się ciężkie skrzydło z okuciami; naprzeciw mnie stał miły chłopiec o jasnych włosach i przyglądał mi się z góry na dół z nieukrywaną ciekawością.

Z głębi domu rozległ się śpiewny, zmanierowany głos starszej kobiety:

– Dawidzie, poproś żeby czekano. Zaraz przyjdę.

Dawid przytaknął głową. Uśmiechnąłem się do niego, ale on był nadal poważny i czujny.

Spory hol podkreślający okazałość domu był cały pomalowany na biało, a posadzka przykryta była dywanami w jeszcze całkiem dobrym stanie. Nad holem górowała galeria z drewnianą balustradą. Nagle na górze otworzyły się drzwi łazienki. Sądziłem, że pojawi się starsza pani, której głos przed chwilą usłyszałem, ale stanęła w nich Marjorie. Była w białym szlafroku, a głowę miała owiniętą ręcznikiem. Gdy mnie spostrzegła, niemal podskoczyła i to tak, że pomyślałem, iż zacznę krzyczeć z wrażenia. Prawie równocześnie wyszła z jakiegoś pokoju no parterze gospodyni.

Była młodsza, niż sądziłem. Pulchna, mocno umalowana, ubrana w zbyt jaskrawą suknię kobieta patrzyła na mnie przez staromodne ręczne binokle. Wszystko rozgrywało się teraz równolegle i to na dwóch poziomach. Właścicielka domu, lustrując mnie przez swoje szkła, skinęła głową, Marjorie zaś stała przerażona, błagając mimiką, abym się do niej nie odezwał.

– Czym mogę służyć, proszę pana?

– Czy ma pani wolny pokój?

– Niestety, nie.

Widziałem, jak Marjorie wchodziła do swego pokoju i zdawało mi się, że słyszę jakieś głosy.

– Zatem przepraszam panią, madame...

– Jest pan Francuzem!

– Tak.

– Jest mi niezmiernie przykro, ale mam już komplet...

Wyjaśnienie uzupełniła życzliwym uśmiechem, głaszcząc włosy małego chłopca. Po raz pierwszy od chwili, w której zjawiłem się w tym mieście, ktoś odnosił się do mnie z sympatią. Uśmiechnąłem się do niej serdecznie. Przecież Marjorie zatrzymała się u niej! Na pożegnanie ukloniłem się ceremonialnie, co sprawiło jej nieskrywaną przyjemność.

Zaraz po wyjściu przeszedłem na drugą stronę ulicy, aby lepiej przyjrzeć się fasadzie domu. Za jednym z okien pierwszego piętra zauważyłem drobną niespokojną twarz Marjorie. Wpatrywała się we mnie nieruchomym wzrokiem. Wyglądała jakby była czymś załamana lub przygnębiona. Co się mogło stać? Ktoś, kto przebywał w głębi pokoju musiał coś do niej powiedzieć, bo odwróciła się, by mu odpowiedzieć.

Nie mogłem dłużej sterczeć przed kamienicą, bo w końcu zwróciłbym czyjąś uwagę. Oddaliłem się wolnym krokiem, szukając bezskutecznie miejsca, z którego sam nie będąc zauważony mógłbym obserwować dom. Niestety, przy jlicy stały wyłącznie domy bez bram. Przeszedłem ze sto metrów nie znajdując niczego. Doszedłem wreszcie do skrzyżowania, przy którym ta spokojna dzielnica trochę się ożywiła. Kupiłem gazetę u ulicznego sprzedawcy. Zadrutowana płachta stanowiła raczej lichy parawan, ale i tak było to lepsze niż nic.

Stałem w cieniu, czekając na nią. Mogłem stąd widzieć dom Marjorie. Na pobliskiej wieży wybiła dziewiąta.

## ROZDZIAŁ X

Po kwadransie sprzedawca gazet – staruszek ubrany w zbyt obszerną bluzę marynarską – zaczął mi się przyglądać z nieukrywanym zdumieniem. Człowiek, który czatuje, zachowuje się inaczej niż człowiek, który czeka. Wyraźnie go niepokoiłem. Zauważyłem, że po jakiejś wymianie zdań z klientem, ten również zaczął mi się przyglądać krytycznie. Opalony i ubrany w garnitur z surowego jedwabiu byłem tak mocno widoczny jak mucha w kubku mleka. Jeżeli miałem stać tu jeszcze dłużej, mogłem narazić się na nieprzyjemności.

Minęło pół godziny; i jeszcze drugie pół. Drżałem ze zdenerwowania. Stary sprzedawca nie spuszczał ze mnie oka. Po przeczytaniu nazw ulic, przy których stałem, zbliżyłem się do niego.

– Przepraszam pana bardzo – wyrzekłem – czy nie zauważył pan francuskiego wozu, który stał tu, zanim się zjawiłem? Moi rodacy umówili się na rogu East London Street i Castle Row i jakoś ich nie widzę.

Sprzedawca gazet obdarzył mnie zmartwionym, bezzębnym uśmiechem.

– Nic nie zauważyłem, proszę pana.

– Wygląda na to, że wystrychnęli mnie na dudka. Poczekam jeszcze chwilę. Są pierwszy raz w Edynburgu i być może...

Nie dokończyłem. Chodnikiem po przeciwległej stronie ulicy szła jakaś para; kobietą była Marjorie. Robiła wszystko, by na mnie nie patrzeć. Mężczyzna, u boku którego kroczyła, był wysoki i chudy, miał na sobie ciemny garnitur i szeroki kapelusz z szarego filcu. Niósł fotograficzny aparat w skórzanym pokrowcu. Zatrzymali się i nagle Marjorie przebiegła przez jezdnię, żeby kupić gazetę. Patrzyłem na nią ukradkiem i zauważyłem, jak upuściło na chodnik zwiniętą kartkę papieru. Wróciło do mężczyzny i oddalili się. Zakryłem kartkę butem.

– Jakiej marki był ten francuski wóz?

Spojrzałem na staruszkę, nie pojmując, o co mu chodzi. Był nieogolony i w jego rudym zarostcie tkwiły tu i ówdzie siwe włosy. Cuchnął. Kołnierz jego bluzy był tak brudny, że błyszczał jak cerata.

– Proszę?

– Mówię o wozie pańskich znajomych.

– To citroen, zna pan tę markę?

– Oczywiście, jest ich tu sporo.

Upuściłem gazetę, żeby móc podnieść kulkę papieru. Była jeszcze ciepła od dłoni Marjorie. Zrobiłem kilka kroków i drżąc, rozwinąłem ją.

„Drogi Jean-Marie. Dzięki, dzięki, dzięki.

Po stokroć dzięki za przybycie. Niestety, przyjechał ze mną mąż. Wszystko panu wytłumaczę. Proszę przyjść dziś wieczorem do ogrodów Princes Street i począwszy od piątej czekać w pobliżu kiosku muzycznego.

Kocham Pana.

Pańska „Ma Jolie”

W uniesieniu przycisnąłem po sztubacku kartkę do swego serca.

Kocham Pana! Napisała to.

Oddalająca się para była jeszcze widoczna przy końcu East London Street. Miałem ochotę podbiec do nich, chwycić Marjorie za rękę i porwać ją.

\* \* \*

Dla zabicia czasu uczyniłem coś raczej śmiesznego dla człowieka w mojej sytuacji: zwiedziłem miasto w specjalnym autokarze, w którym tłoczyli się brytyjscy turyści. Kierowca, solidny staruszek o błyszczącej twarzy w okularach w złotej oprawie, objaśniał mijane obiekty, mówiąc do zawieszzonego na szyi mikrofonu. Zatrzymywał autokar przed oknami, w których mieszkali ludzie o nazwiskach wymienionych przez niego z patosem, a mnie dosłownie nic nie mówiących.



Przy objaśnieniach wymagających więcej szczegółów odwracał się do podróżnych i spoglądał na nich okiem belfra prowadzącego wycieczkę niesfornych uczniów. Wydawało się, że w odróżnieniu od większości przewodników wie, o czym mówi i że zależy mu na tym, abyśmy wykazali więcej zainteresowania. W ten oto sposób zwiedziłem główne budowle Edynburga: zamek, pałac Marii Stuart, katedrę, parlament i wiele innych, zapewne godnych uwagi miejsc, które śmiertelnie mnie znużyły.

Już o czwartej byłem przy Princes Street. Przez żelazną furtkę wszedłem do ogrodu i szybkim krokiem udałem się w kierunku trawników. W głębi doliny dzielącej miasto na dwie części panował przyjemny chłód. Zielone faliste trawniki pachniały świeżą i miękką trawą. Były tak starannie wypielęgnowane, że przypominały, jeśliby użyć zwrotu z uczniowskiego wypracowania, zielone dywany. Pośrodku nich tkwiły dobrze utrzymane, trudno byłoby na nich znaleźć choćby jeden zwiędnięty płatek, kwietniki, które tworzyły jakieś geometryczne kompozycje. Alejki o brzegach tak prostych, jakby przeszła po nich brzytwa, wiły się i krzyżowały misternie po ogromnym parku. Piękna pogoda ściągnęła znacznie więcej ludzi niż poprzedniego dnia. Obszarpane dzieci piły wodę bijącą z fontann i ochlapwały przechodniów. Na scenie teatru, na świeżym powietrzu otyła kobieta, ta sama co wczoraj, ustawiała mikrofon. Nadchodziły już ubrane w szkockie stroje pory tancerzy.

Młode dziewczyny w białych lub błękitnych sukienkach nosiły na ramieniu „sashec” z cienkiej wełny we wzory klanu, do którego należały. Członkowie orkiestry, ubrani w wytarte smokingi, rozmawiali o czymś stojąc przy fortepianie. W pobliżu budki, w której umieszczono kasę teatru zauważyłem kamienną ławkę. Siedział na niej, popijając herbatę z papierowego kubka, starszy mężczyzna w meloniku. Obok niego stał termos i torebka z herbatnikami. Nie wiadomo czemu, przypominał kłowna wykonującego żałosny numer.

Miał fioletowy nos, opadające czerwone powieki i drżące ręce.

– Lovely day, proszę pana.

– Lovely day – przytaknąłem.

Dzień był rzeczywiście piękny i mógł radować Szkotów. Niektórzy z nich nie ufali pogodzie i spacerowali w przeciwdeszczowych płaszczach lub z parasolkami.

Członkowie orkiestry zajęli miejsca za pulpitami i stroili instrumenty. Spikerka zapowiadała coś przez mikrofon. Rozległa się jakaś prosta melodia wykonana w sposób spontaniczny i z dobrym wyczuciem rytmu. Rozpoczęły się tance. Przechodnie zajęli miejsca na trybunach.

Im bliżej było do spotkania, tym niespokojniej zacząłem rozglądać się wokół siebie. Nigdzie nie było widać Marjorie i ogarnęły mnie obawy, czy w ostatniej chwili coś jej nie przeszkodziło.

Stało się coś podobnego do tego, co nastąpiło rano: zanim zauważyłem, że nadchodzą, oboje byli tuż obok mnie. Ciągnął ją, trzymając pod rękę, ku wejściu do teatru. Marjorie patrzyła na mnie i w jej spojrzeniu mogłem odczytać jakąś mglistą obietnicę. Nie wiem, co zaalarmowało pana Faulksa: odwrócił się gwałtownie w chwili, gdy przekraczał furtkę. Spojrzał natychmiast w moim kierunku, przyglądając mi się zimnymi jak szkło oczyma. Trwało to zaledwie ułamek sekundy, ale odniosłem wrażenie, że wie, kim jestem i co tu robię. Po chwili Faulksowie zniknęli w tłumie.

Nie wiedziałem co zrobić. Stałem niespokojny i przestraszony jak sztubak pod drzwiami zamężnej kobiety. Nic w tym dziwnego skoro od kilku dni zachowywałem się rzeczywiście jak zakochany młokos.

Starszy mężczyzna w meloniku nalał sobie kolejną filiżankę herbaty i schrupał dwa suchary, nucąc przy tym melodię, którą wykonywała orkiestra.

– Lubi pan szkockie tańce, Sir? – spytał podczas jednej z przerw.

– Szalenie.

– Tak, to wspaniałe folklor. Wojowniczy folklor!

– Lovely race – dodałem nie bez ironii.

Przytaknąłem ironicznie.

– Tak, to prawda, Sir, lovely race! Czy mogę zaproponować panu filiżankę herbaty?

– Nie, dziękuję, nie lubię ziółek.

O mały włos staruszek nie rzucił we mnie kubkiem, ale nie miałem czasu nacieszyć się jego

gniewem, bo Marjorie wychodziła z teatru. Była sama. Nie szłać w moim kierunku, ale dała mi znak, że mam się udać za nią. Kroczyła szybko, z głową wciśniętą w ramiona, jak zbieg, który pokonuje oświetloną przestrzeń. Dotarła do pięknego trawnika na tyłach sceny teatru. Po chwili byłem przy niej. Czekwała na mnie z opuszczonymi ramionami, oczy miała zamknięte, nie wykonała żadnego gestu. Objąłem ją i przytuliłem do piersi. Westchnąłem:

– Nareszcie...

Nie zaznałem dotychczas prawdziwego, tak silnego i tak pełnego szczęścia. Czułem, jak jej serce bije z niezwykłą gwałtownością.

– Och, Jean-Marie – powiedziała otwierając oczy – jest pan piękniejszy i silniejszy niż w moich marzeniach.

Odsunęła się ruchem bardziej czułym jeszcze od mojego objęcia.

– On wie wszystko, Jean-Marie.

Mimo błógięgo stanu, w którym tkwiłem, wiadomość ta trochę mnie przeraziła.

– To znaczy, co?

– Miał tu być dopiero w tydzień po moim przybyciu, ale w ostatniej chwili postanowił zrobić mi miłą niespodziankę, oświadczając że jedzie razem ze mną... – Mówiła urywanym głosem, rozglądając się trwożliwie. – Muszę się spieszyć, bo myśli, że poszłam do toalety. Gdyby wiedział... – Wróciła do przerwanej wątku: – Przyjechaliśmy przedwczoraj. W Learmonth nie było miejsca, rozumie pan?

Nie tylko rozumiałem, ale zacząłem przewidywać dalszy ciąg.

– Poszliśmy więc do tego „Bed and breakfast”, o którym ktoś mu powiedział. Wczoraj, nie informując mnie o tym, poszedł do hotelu, kiedy byłam w łazience i znalazł telegram, który pan adresował do mnie.

– Dlaczego tak postąpił? Czy coś podejrzewał?

– Zazdrośni mężowie zawsze coś podejrzewają. A poza tym myślę, że po powrocie z Francji nie byłam już sobą. Sądzę, że właśnie dlatego chciał przyjechać.

– I co dalej?

– Na razie nic, ale muszę wrócić do niego, Jean-Marie. To konieczne.

– A co z telegramem... Co pani powiedział?

– Pokazał mi go i zapytał, co to oznacza.

– I co mu pani powiedziała?

– Prawdę. Co mogłam innego? – wyjąkała Marjorie, przyciskając się twarzą do mnie.

– Jak zareagował?

– Nevil nigdy nie reaguje! Nawet węże reagują, kąsając! Ale on nie. On jest wężem, który nie kąsa. To straszne, Jean-Marie! Co się ze mną stanie?

Objąłem ją powoli i pocałowałem z całej duszy.

– Wyjedziemy stąd, kochanie.

– On mnie nie puści... Muszę wrócić, muszę koniecznie. Spotkajmy się jutro na tym samym trawniku i o tej samej porze.

Pocałowała mnie gwałtownie w usta. Ostro ruszyła w stronę teatru, ale po przebiegnięciu dziesięciu metrów zawróciła do mnie ze zmartwioną miną.

– Jest mi strasznie przykro, Jean-Marie, ale czy pan może mi pożyczyć jednego penny? Nie mogłabym wrócić do teatru, bo tu nie ma biletów. Wrzuca się monetę, aby otworzyć furtkę... Zabrał wszystkie pieniądze, które miałam w torebce...

Była cała czerwona ze zmieszania, tak jakby prosiła o jakąś zawrotną sumę.

Ucałowałem monetę, zanim jej wręczyłem.

– Może pani potrzeba kilka funtów, Marjorie, na wypadek...

– Nie, dziękuję! Gdyby je znalazł, wiedziałby o wszystkim!

Kiedy odeszła, położyłem się na trawie i rozłożyłem ramiona jak na piasku w Juan-les-Pins.

I tak jak w Juan miałem głowę pełną słońca.



## ROZDZIAŁ XI

Nazajutrz wyniosłem się z hotelu „Learmonth”. Nie chodziło o to, że przestraszyłem się Nevila Faulksa. Nie obawiałem się go i chętnie dałbym mu w zęby. Ale wydało mi się, że ze względu na bezpieczeństwo Marjorie rozsądniej będzie, aby jej mąż myślał, że wróciłem do Francji.

Raz już dzwonił do hotelu, aby przekonać się, czy jestem w Edynburgu, było więc prawdopodobne, że uczyni to powtórnie. Gdy dowie się o mojej rejteradzie, będzie, być może znacznie mniej podejrzliwy, co pozwoli nam, Marjorie i mnie, lepiej zorganizować naszą prawdziwą ucieczkę. Powziąłem stanowczą decyzję: porwę ją, doprowadzę do rozwodu i ożenię się z nią. Wobec siły naszej miłości nie widziałem innego rozwiązania.

Wyjaśniłem właścicielowi „Learmontha”, że spotkałem rodaków, którzy akurat jadą samochodem do Londynu i wobec niemożności określenia terminu zakończenia strajku pracowników komunikacji korzystam z okazji.

Zależało mi na tym, aby powtórzył to samo Faulksowi. Niepokoiłem się jedynie reakcją Marjorie, gdy mąż zawiadomi ją o moim wyjeździe. Obawiałem się, że to, co było tylko przezornością, może potraktować jako tchórzostwo i ta obawa jeszcze bardziej powiększała moją niecierpliwość oczekiwania na spotkanie z nią w Princes Garden.

Przeniosłem się do skromniejszego, ale za to położonego bliżej centrum niż Learmonth

hotelu. Zakład prowadzony był przez rodzeństwo o poważnym i godnym szacunku wyglądzie. On wyglądał na księdza, a ono na... siostrę księdza. Jedyna służąca hotelu również przypominała gospodynię z plebanii.

Dzień spędziłem na czytaniu oprawionej w czerwoną skórę angielskiej Biblii, która zajmowała poczesne miejsce na nocnym stoliku. Od czasu do czasu głaskałem grzywę Puga, szepcząc mu, że niebawem znów spotka się ze swoją panią.

O piątej z bijącym sercem przechadzałem się po trawniku. Czy Marjorie uda się wyjść? Co mogła wymyślić, żeby uśpić czujną zazdrość męża?

\* \* \*

Było dziesięć po piątej, gdy zobaczyłem, jak szybkim krokiem idzie krętą alejką. Ubrana w jasnoniebieski kostium z cienkiego materiału – było tak pięknie jak poprzedniego dnia – wyglądała niczym młoda dziewczyna i promieniała wszystkimi swoimi piegami.

– Chodźmy trochę dalej – rzekła na powitanie.

Orkiestra wykonywała te same co wczoraj staroświeckie melodie. Słysząc było basowy głos tłustej spikerki, która wydawała polecenie tańczącym, oraz klaskania wykonawców kadryla uderzających dłońią o dłoń niemal z doskonałą zgodnością.

Wzięła mnie za rękę i poprowadziła trochę dalej, w miejsce, w którym panował większy spokój. Znaleźliśmy się na dnie wielkiej zielonej miski, w pobliżu ogromnego klombu jeszcze nie całkiem obsadzonego kwiatami przez ogrodników magistratu.

– Bałem się, Marjorie, że nie zobaczę pani.

– Obiecałam przecież.

– A mąż?

– Miał się spotkać z kolegą po łachu z Edynburga na jakimś placu budowy; ponieważ nie mógł mnie zabrać ze sobą, zażądał, abym nie ruszała się nawet na krok z pokoju.

– Czy telefonował do „Learmonth”?

– Nie wiem, prawie się nie odzywa.

Wy tłumaczyłem jej, dlaczego opuściłem hotel. Słuchając mnie kiwała głową.

– Dobrze pan zrobił, Jean-Marie. Jest całkiem możliwe, że znów zatelefonuje.

– Wyjedziemy stąd, Marjorie.

Spojrzała na mnie tym swoim wzrokiem pilnej studentki starającej się zrozumieć i nagle zalało się łzami.

– Czy mówi pan poważnie?

– Jak najpoważniej, kochanie. Nie zgadza się pani?

– Och! Jean-Marie...

Jok na komendę usiedliśmy obok siebie na trawie.

– Prawie się nie znamy – zaoponowała.

– Otóż to właśnie: mamy całe życie, aby się poznać, kochanie.

Pocałowała mnie pierwsza. Odwzajemniłem się jej tym samym. Nie obchodziło nas, gdzie się znajdujemy. Trawnik stał się dla nas chmurą, na której płynęliśmy pod błękitem letniego nieba, dwa tysiące metrów ponari ziemią.

– Musiała pani cierpieć z tym mężczyzną, prawda?

– Tak – odparła – ale wolałabym o tym teraz nie mówić. Opowiem wszystko później.

Jej cierpienia musiały być nie mniejsze od jej poczucia godności. Prawdziwe nieszczęścia są z zasady nieme. Mówienie o nich świadczy, że ma się jeszcze pewne zapasy energii. A Marjorie była już u kresu. Zjawiłem się w jej życiu w chwili, gdy była o krok od rezygnacji, gdy miała zostać żywcem pochowana pod ciężką warstwą obojętności, tak jak to często się zdarza w wielu małżeństwach.

– Dokąd pojedziemy? – zapytała nieśmiało.

– Do Paryża, oczywiście.

– Ale kiedy? Przecież teraz nigdzie nie można jechać: ani pociągiem, ani samolotem. Nawet

statki są unieruchomione. Strajk jest już powszechny i mówi się, że może jeszcze potrwać.

– Wynajmę samochód.

Potrząsnęła głową.

– Wczoraj Nevil chciał wynająć wóz w firmie Hertza: nie mają ani jednego wolnego!

Była to poważna przeszkoda na drodze do realizacji naszego zamiaru. Gładząc rękę Marjorie zacząłem się zastanawiać.

– Niech pani posłucha...

– Jean-Marie – przerwała mi – mam do pana prośbę. Niech pan mi mówi „ty”. W angielskim ta forma nie istnieje, o dla mnie mówienie sobie per „ty” brzmi cudownie.

– Będzie to tym łatwiejsze, że już dawno w myślach mówiłem ci „ty”...

Pocałowała mnie z jeszcze większym zapałem niż poprzednio.

– Posłuchaj kochanie, jak wiesz, komunikacja miejska jeszcze funkcjonuje. Wsiądziemy do autobusu, który jedzie najdalej za miasto. Jestem pewien, że z doła od Edynburga znajdziemy jakiś dyskretny zajazd, w którym będziemy mogli przeczekać ten przekłety strajk.

Oczywiście wyobraźni widziałem już ten zajazd: stary dom kryty szarym łupkiem, opleciony bluszczem. Jadalnia z lśniącymi boazeriami i monumentalnym kominkiem.

– Zgadzasz się?

Przeraziłem się nagle na myśl, że może nie chce dojść do końca naszej przygody, ale skinieniem głowy wyraziła zgodę w sposób, który świadczył, o tym, że ona również jest zdecydowana.

– Pójdę zaraz do hotelu, aby zabrać swoje rzeczy, a ty w tym czasie kupisz sobie jakieś ubrania. Nie ma mowy, żebyś wróciła na East London Street. Potem wyślesz do swego męża list, w którym zawiadomisz go o tym, że wyjeżdżasz ze mną i że zamierzasz wystąpić o rozwód... Zrobisz to?

Nic nie odpowiedziała. Patrzyła na coś, co było za mną.

Nieruchomość jej spojrzenia zmusiła mnie do odwrócenia się. Za ledwie w półmetrowej odległości od siebie spostrzegłem nogawki spodni. Podniosłem wzrok i zobaczyłem bladą i zimną twarz Nevila Faulksa.

## ROZDZIAŁ XII

Przypomniał mi się wypadek samochodowy, który zdarzył się na górskiej szosie osiem lat temu. Miałem wtedy renault 4 CV ze „wzmocnionym” silnikiem, dzięki któremu mogłem osiągnąć do stu trzydziestu kilometrów na godzinę, co zatykało innych kierowców. Było nas czterech kumpi mających bzika na punkcie szybkości i właśnie z nimi jechałem, gdy nagle złapałem gumę. Natychmiast straciłem panowanie nad wozem, który zatoczył się i poszybował ku przepaści.

Nikt w samochodzie nie krzyczał. Byliśmy niemi z przerażenia, z zachwytu i fatalizmu. Wóz napotkawszy na swej drodze jakiś kamienny słup, wbił się weń i nie raniąc nikogo gwałtownie wyhamował. Prawdziwy cud!

To, co wówczas odczułem, graniczyło z rozczarowaniem. Byłem zawiedziony tym, że widziałem własną śmierć i pogodziłem się z nią, aż tu nagle jej uciekłem.

Twarcz Faulksa kojarzyła mi się z wozem, nad którym nie panowałem. Trzymany przezeń rewolwer to była ta przepaść. A Marjorie i ja byliśmy tymi bezsilnymi lecącymi w otchłań pasażerami. Nie wydaliśmy żadnego dźwięku. Naszą chmurkę nawiedziła śmierć, a my mogliśmy jedynie paść jej ofiarą.

Z oddali słychać było wykonywaną przez orkiestrę jakąś staroświecką polkę oraz niemal wojskowe okrzyki kobiety przy mikrofonie zachęcającej swoich uczniów.

W pobliżu jakieś pary baraszkowały na trawie. Wszystko dookoła było nieludzko obojętne. Ten człowiek zabije nas, nie zwracając niczyjej uwagi. Przypomniał mi się rysunek humorystyczny przedstawiający wisielca w jakimś przepelnionym parku. Nikt go nie zauważał.

Nikt w Princess Garden nie zauważał zazdrosnego męża z rewolwerem wycelowanym w żonę

i jej towarzysza.

Nevil Faulks zgiął swoje długie nogi i ukląkł przy nas. Kierował lufę swej broni na nas, i to w sposób szatańsko sprytny, gdyż lekkim ruchem przegubu mógł niemal równocześnie strzelać do mnie i do Marjorie. Człowiek, który zamierza strzelać do was, z trudem może uchodzić za osobę sympatyczną, ale on był bardziej niż antypatyczny. W każdym szczególe stanowił uosobienie łojdoka. Patrząc na niego z bliska i z taką uwagą, jak ja to czyniłem, mogłem zauważyć, jak kanciaste były jego rysy, jak wykrzywiona była jego twarz.

Jego nos przypominał dziób drapieżnego ptaka, a głęboko osadzone ciemne oczy, ledwo widoczne w głębokich oczodołach, upodabniały go do złośliwej małpy. W sumie był to typ wyjątkowo odrażający i niebezpieczny.

– Szedłem za tobą, Marjorie – wyszeptał. – Domyśliłem się, że zamierzasz spotkać się z tym człowiekiem. – Głos jego był niski i głuchy, tak głęboki, że myślałem, iż ochrypl. – Widzisz, Marjorie, wydaje mi się, że w życiu należy być realistą i umieć przyznać się do klęski. Nie kochasz mnie, nigdy mnie nie kochałaś. Mogę się z tym pogodzić. Natomiast nie mogę się pogodzić z faktem, że kochasz kogoś innego. I dlatego muszę cię zabić. Nie, proszę nie komplikować tej i tak trudnej sytuacji. Możesz się pomodlić. Osobiście nie jestem w pełni przekonany, że Bóg istnieje, ale jest to hipoteza, którą w chwili, gdy człowiek musi umrzeć, lepiej brać pod uwagę.

Zwracał się jedynie do niej, ignorując w sposób pogardliwy moją obecność. Pilnował mnie jednak kątem oka.

– Panie Faulks, czy nie uważa pan, że zanim uczyni pan rzecz nie do naprawienia, moglibyśmy porozmawiać? – powiedziałem skrzekliwym głosem.

Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

Sytuacja była dość niezwykła. Klęczeliśmy wszyscy w kółko na trawniku, jakbyśmy byli na pikniku. Niecałe trzydzieści metrów stąd grała jakaś orkiestra, ludzie tańczyli, zakochani całowali się. Do doliny napływał dobrotliwy zgiełk Princess Street. Przeżywaliśmy jakiś straszliwy, mrozący krew w żyłach dramat. Tę nieubłagany, rozszalały z zazdrości człowiek delektował się naszą agonią, przeciągał scenę tak, jakby liczył, że umrzemy ze strachu, zanim do nas wystrzeli. Nie miałem już siły zwracać się do niego, wiedząc, że jest to zbędne, a zarazem poniżające. Marjorie również zamilkła. Patrzyła na mnie wielkimi przerażonymi oczami. Mogłoby się wydawać, że właśnie mnie o coś błaga.

Dopiero po kilku sekundach zrozumiałem, na co liczyła w szalonej nadziei. Spodziewała się, że coś uczynię, wykonam jakiś krok. Miała pretensję z powodu mojej bierności. Kochana Marjorie. To ona miała rację! Nie można przecież dać się zastrzelić z opuszczoną głową, jak bydło w rzeźni. Zrezygnowani ludzie zowsze przegrywają na tym świecie. Nie siedziałem na trawie, lecz na piętach. Jednym ruchem mogłem rzucić się do przodu i obalić Nevila Faulksa.

Wystrzeli, nie mogąc jednak wycelować.

Wpadłem w trons. Sam już o niczym nie decydowałem, moje ręce i nogi zostały podporządkowane nie rozumowi, lecz wyobraźni. Rzuciłem się gwałtownie do przodu i moja głowa uderzyła w coś twardego, co musiało być głową Faulksa. Jęknął cicho. Dotarł do mnie szelest spódnicy. Głowa bolała mnie tak strasznie, że pomyślałem, iż jednak zdążył strzelić. Złote iskry, które przesłoniły mi oczy, rozproszyły się. Widziałem teraz dokładnie całą scenę. Faulks leżał na wznak. Marjorie wpierała się kolanami w jego zgięte pod kątem prostym prawe ramię i w miarę swoich sił usiłowała unieruchomić uzbrojoną rękę. Uniesiona przez ułamek sekundy spódnica pozwalała mi dostrzec jej uda i bieliznę.

– Rewolwer! Prędko, Jean-Marie, zabierz mu rewolwer! – wykrzyknęła zdyszczym głosem.

Nevil walczył desperacko, aby wyszarpnąć rękę z uwięzi. Targał nią na wszystkie strony, ale bezskutecznie.

Chciałem odgiąć mu palce jeden po drugim i wyrwać rewolwer, niestety, zaciskał je natychmiast na nowo. Uderzyłem go w rękę z całej siły. Upuścił broń. Nie próbował jej podnieść, ale za to nagle rzucił się w bok i lewą ręką złapał Marjorie za szyję.

– Jean-Marie – zaczęła błagać niepewnym głosem.

Skierowałem lufę w twarz Faulksa, nad ramieniem Marjorie. Teraz wszystko stało się proste.

Wskazującym palcem nacisnąłem spust i rozległ się strzał. Z tak bliska huk nie wydawał się zbyt głośny i przypominam sobie, że zdziwiło mnie to nieco. Nevil podskoczył. Lewa ręka opadła. Zrobił ruch, jakby chciał stanąć na równe nogi, ale upadł twarzą do ziemi. Z lufy, jak z tłącego się papierosa, unosił się lekki dym. Marjorie nachyliła się nad mężem i wsunęła dłoń pod jego twarz. Gdy ją wyjęła, palce ociekały krwią. Długo wycierała je o trawę, wstrząsnął nią dreszcz obrzydzenia.

– Nie żyje – oświadczyła bezbarwnym głosem.

Zamordowałem człowieka! Na trawnik padł cień szubienicy, przynajmniej taką obrzydliwą wizję miałem przez chwilę.

Cały dramat rozegrał się tuż nad ziemią. Marjorie podniosła się rozglądając się uważnie dookoła siebie. Panował absolutny spokój. Z powodu zgiełku dochodzącego z pobliskiego teatru na świeżym powietrzu i miejsca, jakie zajmowaliśmy w głębi doliny nikt nic nie słyszał, nikt nic nie zauważył. Wydawało się to nieprawdopodobne, a jednak była to prawda: przed chwilą, w biały dzień i w obecności co najmniej tysiąca ludzi, zabiłem w publicznym parku człowieka. I znowu przypomniał mi się ten humor rysunkowy z wisielcem w parku.

– Chodźmy stąd, szybko – rozkazała Marjorie.

Nadal trzymałem rewolwer w dłoni. Marjorie potrząsnęła nią, aby mi go wytrącić. Wyraźnie wróciła do siebie i przejęła inicjatywę. Rzuciła okiem na trawnik, jakby chciała sprawdzić, czy nie zgubiliśmy czegoś. Na trawie leżał tylko trup.

– Trzeba zawiadomić policję! – wyjąkałem idąc za nią. Nic nie odpowiedziała. Szliśmy obok siebie alejką prowadzącą w stronę teatru. Czuję się śmiertelnie zmęczony, jak po ogromnym wysiłku. Kroczyłem u jej boku jak ślepiec i w uporczywym majaczeniu powtarzałem sobie: „Zabiłem człowieka! Zabiłem człowieka! Zabiłem człowieka”.

## ROZDZIAŁ XIII

Spoglądałem na mężczyznę stojącego przy furtce. Niski, krępy, przypominał małpę. Z uszu sterczały mu pęczki włosów. Z klapy jego wytartej marynarki zwisała gruba niklowana dewizka od zegarka.

– Proszę mi dać dwa pensy – szepnęła Marjorie.

Zacząłem grzebać w kieszeniach. Położyłem dwa pensy na miedzianym blacie i mężczyzna nacisnąwszy na pedał otworzył furtkę. Marjorie wepchnęła mnie. Powinienem być ją przepuścić, ale byłem jej posłuszny i wszedłem pierwszy. W amfiteatrze były zajęte nie wszystkie miejsca, wybraliśmy jednak pierwszy lepszy rząd i zająłem miejsce w pobliżu starego Szkota w kilcie. Musiał to być ktoś z lepszych sfer, o czym bardziej świadczył jego sposób bycia niż strój. Ubrany był w dobrze skrojoną marynarkę, w białą koszulę z żabotem, na głowie miał beret z wstążką. Skórzany sporran z wyrzeźbionym srebrnym zamkiem opierał się o jego brzuch.

Wpatrywałem się w plac u stóp estrady, na którym tancerze podskakiwali w takt muzyki niczym automaty. Staruszkowie z orkiestry grali tak, jakby mieli świadomość, że rzępolą dla automatów. Kobieta przy mikrofonie, ubrana w spódnicę z arubego materiału, w skarpety i zbyt obszerną bluzkę, gardłowo pokrzykując nadal kierowała ruchem tancerzy.

– Powinniśmy pójść na policję, Marjorie.

Mimo że mówiłem cicho, dobrze usłyszała. Nie patrząc na mnie, gdyż tak jak ja miała wzrok utkwiony przed siebie, odpowiedziała:

– Nie. Byłoby to szaleństwo!

– Działalem przecież w obronie własnej – odparłem tym samym jęklwym głosem, cedząc słowo kątem ust.

– Policja nie uwierzy.

– Co więc zrobimy?

– Nic. Po spektaklu proszę wrócić do hotelu, wieczorem zadzwonię. Jak on się nazywa?

– „Fort William's Hotel”.

– Teraz proszę już ze mną nie rozmawiać.

– Ale...

Wstało i opuściła rząd krokiem osoby szukającej bardziej wygodnego miejsca. Patrzyłem, jak wspina się po trybunach i nikt nie w tłumie widzów, którzy gorąco oklaskiwali wyczyny tancerzy.

Nigdy w życiu nie czułem się tak opuszczony.

Straszliwa sytuacja, w której się znalazłem, wydała mi się wręcz nieprawdopodobna. Wszystko dookoła wirowało. Miałem potwornego kaca, ale powoli uświadamiałem sobie, że niedługo zniknie, że nie może nie zniknąć.

Siedziałem w teatrze na świeżym powietrzu u boku szkockiego dżentelmena w spódnicy, słuchając złej muzyki i przyglądając się podrygom idiotycznie wyglądających par. A za teatrem leżał trup człowieka, którego zabiłem. Przed chwilą żona tego człowieka, siedząc obok mnie, oglądała to samo przedstawienie. Moje palce czuć było prochem. Wszystko kręciło mi się w głowie. Myśli układały się w karuzelę mniej lub bardziej wyraźnych obrazów. Zobaczyłem podkurczone ciało Nevila na trawie. Pojawiła się twarz Marjorie, nabrzmiała w chwili, gdy chciał ją udusić. W ręku odczuwałem jeszcze potężny wstrząs wypalającej broni. Gdy podnieśliśmy się i stwierdziliśmy, że nie było żadnych świadków dramatu, odczuliśmy ulgę. A przecież ten brak świadków oznaczał naszą zgubę.

Teraz policja będzie miała tylko naszą wersję wydarzeń. Jeśli gliny nam nie uwierzą, jesteśmy zgubieni.

Nagle, zupełnie jak na meczu piłkarskim, gdy ktoś strzela gola, wszyscy powstali. Podskoczyłem. Wydawało mi się, że przyniesiono na estradę trupa Nevila Faulksa. Dopiero po chwili zrozumiałem, że to po prostu skończyło się przedstawienie i ludzie wychodzą. Na zewnątrz rozejrzałem się dookoła. Byłem przekonany, że na tym przeklętym trawniku ujrzę grupę policjantów i pielęgniarzy, ale nie było nikogo. Trupa Faulksa jeszcze nie odkryto.

\* \* \*

Do hotelu wróciłem, nie społkawszy Marjorie. Szukałem jej w tłumie widzów wspinających się alejkami Princess Garden, ale bez rezultatu. Pomyślałem sobie, że musiała wyjść jeszcze przed końcem programu.

Zanim wróciłem do „Fort William's Hotel” zatrzymałem się chwilę na górującym nad doliną chodniku Princess Street. Przede mną rozciągał się cały park. Tu i ówdzie jakieś pary siedziały jeszcze na trawniku. Dzieci graty w piłkę. Starzy ludzie gawędzili siedząc na ławkach. Niestety, jedynej części ogrodu, która mnie interesowała, nie mogłem ujrzeć, bo była zasłonięta estradą. A tam leżało krwawiące ciało Nevila Faulksa... Czy nie powinniśmy byli włożyć mu do ręki rewolweru, aby upozorować samobójstwo? A może zabrać mu portfel, aby uprawdopodobnić wersję zabójstwa w celach rabunkowych?

Nie, nie miało to żadnego sensu i rozumiałem teraz, dlaczego większość zabójców popełnia tyle błędów.

Do hotelu miałem zaledwie dwa kroki. Z ulgą wszedłem do pokoju, ale to uczucie względnego bezpieczeństwa trwało krótko. Nie mogłem się doczekać telefonu od Marjorie. Musieliśmy się porozumieć, bowiem nasz ratunek zależał od zgodności naszych przyszłych zeznań. Byłem tylko elementem, połową dramatu, bez jego drugiej połowy moja pozycja była wyjątkowo krucha. Widziałem przez okno, jak blednie słońce. O tej porze Lazurowe Wybrzeże zaczynało szaleć. Hałas, światła, zapachy, kobiety, kasyno.

Kasyno!

Przypomniłem sobie stół, przy którym odnalazłem Marjorie. Teraz nie stawiałem już na czerwone lub czarne, lecz na pełny numer. Stawką było wszystko, co posiadam, moja wolność i życie. Jeżeli nie wyjdzie...

Ivanhoe! Dzielny bohater uwolnił damę swego serca od złego tyrana. Tyle tylko, że zamiast gratulacji od dobrego króla Ryszarda nagrodą mógł być konopny sznur. Denise miała rację: bohaterowie są głupcami.



Ktoś zapukał do drzwi. Była to hotelowa kelnerka.

– Telefon? – zapytałem.

– Nie, sir. Chciałam się tylko dowiedzieć, czy zje pan kolację w pokoju, bo za chwilę podajemy...

– Nie, dziękuję, nie jestem głodny.

– Do usług, sir.

Czekałem, leżąc na łóżku, przeszło trzy godziny. Marjorie nadal się nie odzywała. Przez otwarte okno dochodził do mnie najpierw dźwięk sztućców, następnie stukot kółek wózka służącego do przewożenia brudnych naczyń. Potem nastąpiła martwa cisza szkockiego wieczoru.

Od czasu do czasu zakłócał ją plusk wody płynącej z kranu lub skrzyp zamykanych drzwi. A potem niż nic. Na moim zegarku było wpół do jedenastej. Nie mogąc dłużej wytrzymać wyszedłem z pokoju i znalazłem się na schodach przykrytych wzorzystym dywanem.

W małym pokoiku sąsiadującym z holem gospodarze hotelu i z dwiema starszymi paniami oglądali telewizję. Drgające światło padające z ekranu, uwypuklając zmarszczki i bruzdy, pogłębiając cienie od oczami, złowrogo oświetlało obce mi twarze. Na ekranie jakiś facet o kręconych włosach, podobny do Danny Kaya, opowiadał jakieś bzdury, których nie rozumiałem. Co pewien czas któryś z widzów wydawał z siebie śmieszne gdakanie. Gospodarz o obliczu smutnego księdza zauważył, że stoję w drzwiach.

– Proszę usiąść, sir – zaproponował.

– Nie, dziękuję. Wychodzę odetchnąć świeżym powietrzem. Czy drzwi hotelu pozostają otwarte?

Wstał, wyraźnie niezadowolony z tego, że przeszkadzam w jego ulubionej rozrywce.

– Nie, sir. Czy wróci pan późno?

– Nie wiem. Zasypiam z trudem i przed snem dobry jest spacer...

– Dam panu klucz – postanowił z żalem. Podał mi klucz wiszący na tablicy za recepcją. Zamykałem drzwi za sobą i już miałem zejść po schodach ganku, gdy usłyszałem telefon. Wróciłem jak szalony do przytulnego holu. Telefon nadal dzwonił, ale gospodarze nie kwapili się z odebraniem go. Miałem ochotę rzucić się na wiszący aparat, ale właśnie wtedy właściciel „Fort William's” się zdecydował. Odpowiadając spoglądał na mnie i zapewne dziwił się, że stoję przy nim w wyczekującej pozie, skoro przed chwilą wyszedłem z hotelu.

– To do pana, sir.

Dosłownie wyrwałem mu słuchawkę z ręki.

– Mister Valaise?

Był to męski głos, niski i agresywny.

– Jestem przy aparacie.

– Misterss Marjorie prosiła mnie, abym panu powtórzył, że będzie na pana czekać za dziesięć minut na rogu Princess Street i Frederik Street.

– Kim pan jest?

– Barman.

– To misterss Marjorie kazała...

Rozłączył się.

Odwiesiłem słuchawkę i stanąłem w drzwiach pokoju telewizyjnego, by przez chwilę przyjrzeć się jakiemuś młodemu Hindusowi, zonglującemu z szatańską wprawą kilkoma sztyletami.

Ja również byłem teraz zonglerem. Tyle tylko, że to, co miałem w rękach, było bardziej niebezpieczne.

W pewnej chwili artysta upuścił jeden ze swych sztyletów i wszyscy w salonie krzyknęli. Wyszedłem, zastanawiając się, czy niezręczność Hindusa nie jest złym znakiem dla mnie.

## ROZDZIAŁ XIV

Mimo, że było zaledwie wpół do dziesiątej, z teatru wychodzili widzowie.

W tym mieście życie zamierało wcześniej. W krótkim czasie tłum widzów rozproszył się i stałem samotnie pośród domów jakiejś zamożnej i pustej dzielnicy, domów, które w świetle księżycy wyglądały jak cytadele. Frederik Street, to jedna z tych biegnących w dół ulic krzyżujących się z Princess Street. Gdy dotarłem na miejsce, Marjorie jeszcze nie było. Oparłem się o żelazną żaluzję jakiegoś sklepu czekałem. Noc była tak jasna, jak niektóre zimowe noce. Nie było słychać żadnego dźwięku. Od czasu do czasu światło latarni wyłapywało jakiegoś spieszącego się przechodnia, który po chwili nikał w ciemnościach. Hałaśliwie dudniąc przyjechał pusty autobus. Prawdopodobnie ostatni.

Na myśl, że za chwilę spotkam Marjorie, poczułem się lepiej i znowu zacząłem mieć nadzieję.

Razem, być może, znajdziemy jakieś rozwiązanie. Potrzeba trzymania jej w ramionach była tak dominująca, że nawet nie przerażała mnie myśl o aresztowaniu. Kilka godzin z nią i reszta już się nie liczyła! Ta chwila była dla mnie wszystkim. Jutro wstanie dzień i życie może znów przytłoczyć nas swoim złem, ale skoro tę noc spędzę przy niej, nie będzie to miało żadnego znaczenia.

Na sąsiedniej wieży i innych dzwonnicach miasta zegary wybiły jedenastą, a Marjorie nadal nie było. Przez pierwsze dwadzieścia minut byłem tak pewien zobaczenia jej za chwilę, że jej nieobecność nie zaniepokoiła mnie. I nagle się zaczęło! Ogarnął mnie potworny strach tak dotkliwie, że odczułem fizyczny ból. Żelazna dłoń cisnęła mnie za gardło. Zacząłem przechadzać się na przemian po Princess Street i po Frederik Street; gdy na końcu jednej z tych ulic pojawiał się jakiś cień lub zdawało mi się, że słyszę kroki, zrywałem się do biegu. Nikt jednak nie nadchodził. Wielki i głupawy księżyc świecił nad moją rozpaczą. Marjorie nie przyjdzie. Musiano ją zaarrestować w barze, z którego do mnie zatelefonowano. Zresztą jeżeli sama do mnie nie dzwoniła, to jedynie dlatego, że ktoś ją śledził. Nie było innego wytłumaczenia. Nie mogło być innego! Teraz siedziała przed jakimiś glinami, którzy ją maglowali. Wyobraziłem ją sobie, jak kuli się, krucha i przestraszona, w urzędowym fotelu, wokół którego kręca się groźne typy, zmuszając ją do przyznania się, że zabiła swego męża. Ta myśl była nie do zniesienia i westchnąłem z rozpaczy. Ukochana twarz Marjorie, z jej piegami i cudownymi, pełnymi wyrazu oczyma! Zapach Marjorie! Smak jej ust! Jej ciepło...

– Coś nie w porządku, sir?

Podskoczyłem na widok stojącego nieruchomo przy mnie policjanta. W czarnym mundurze i płaskiej czapce wyglądał jak grabarz. Jego wzrok przygwoździł mnie.

– Czekam na kogoś.

– Na ulicy i o tej porze!?

O tej porze! Miałem ochotę mu opowiedzieć, jak wygląda Juan-les-Pins o tej porze! Paryż o tej porze! Cały świat o tej porze! Był cmentarnym stróżem i nie wiedział o tym.

Nie mogłem dłużej tu stać. Czekałem już godzinę i nie miałem żadnych złudzeń.

– Powinien pon wrócić do domu, sir.

Brał mnie za jakiegoś pijaka. W Edynburgu było ich pełno. W ciągu dnia spotkałem sporo facetów idących z przymkniętymi oczami, którzy coś do siebie mruzczyli i kroczyli jak gdyby w transie.

– Lovely night, sir.

– Lovely night! – przytaknąłem kierując się szybkim krokiem ku „Royal Bar”.

\* \* \*

Noc była rzeczywiście piękna.

Piękna noc dla przeżycia najstraszliwszego z koszmarów.

Miałem ostatnią nadzieję. Ale nadal na rogu ulicy nikogo nie było. W świetle księżycy Frederik Street pięła się w górę i wydawała się urywać w niebie, po którym przetaczały się szare płynące znad morza chmury.

Usłyszałem nikły dźwięk: wywołał go kawałek gnanego przez wiatr papieru. Co się stało z

Marjorie? Czy została zatrzymana? A może, powodowana strachem, opuściło miasto? Pozostało mi tylko jedno: odwiedzić ten „Bed and Breakfast”, w którym się zatrzymała. Ale pójść tam o tej porze i zapytać o nią byłoby prawdziwym szaleństwem.

## ROZDZIAŁ XV

Jakiś kot, który kolorem przypominał angielskie konfitury z pomarańczy, opierając się o fasady, poruszał tak szybko łapkami, że wyglądał jak duża stonoga. Gdy mnie zauważył, błyskawicznie zniknął w piwnicznym okienku. Jego nagłe zniknięcie powiększyło jeszcze moją rozpacz. Przynajmniej przez kilka sekund kłóś był przy mnie.

Stałem przed okazałym gankiem domu, w którym zatrzymali się Faulksowie. Księżyc oświetlał go w całości, a bielejące schody napawały mnie przerażeniem, tak jakby to były stopnie prowadzące na szafot.

Czarne podwoje były bardziej odpychające niż drzwi więzienia. Wszedłem po schodach, wmawiając sobie, że nigdy nie będę miał odwagi zadzwonić, a gdy zadzwoniłem, byłem przeświadczony, że gdyby przypadkiem otworzono, nie będę w stanie wymówić ani słowa. Srebrzysty dźwięk dzwonka musiał obudzić całą ulicę. Podskoczyłem tak, jakby ktoś wymówił za plecami moje nazwisko.

A jednak ani ulica, ani dom nie zareagowały. Drgania dzwonka wbiły się w bezmiar nocy i po chwili znów zapanowała ta sama gęsta i jednolita cisza.

Doszedłem do wniosku, że ta moja nocna wizyta jest jednak zbyt ryzykowna. Zacząłem się wycofywać niczym złoczyńca złapany na gorącym uczynku. Znajdowałem się na ostatnim stopniu, gdy w ciemnościach rozległ się głos:

– Pan sobie życzy?

Dochodził z pierwszego piętra. Podniosłem głowę i stanąłem jak skamieniały. Głos nie pochodził z okna Marjorie, lecz z innego, bardziej na lewo. Wydawało mi się, że dostrzegam jasną plamę czyjejś twarzy.

– Ja... Chodzi o to, że mam wiadomość dla pani Faulks!

A zatem stało się! Nie mogłem już się wycofać. Jeśli zatrzymano Marjorie, za chwilę będę dzielił jej los.

Musiała to być właścicielka tego „Bed and Breakfast”, bo wydawało mi się, że poznaję jej zmanierowany sposób wyrażania się.

– Wiadomość dla pani Faulks! A od kogo, jeśli można wiedzieć?

W ciemnościach nie poznała we mnie człowieka, który był u niej rano (a raczej poprzedniego ranka, gdyż dochodziła już pierwsza). Mogłem skorzystać z tej okazji i wziąć nogi za pas. Ale jakaś nieodparta siła przygwałdziła mnie do chodnika. Tą siłą była miłość. Wyciągnąłem wnioski w zawrotnym tempie. *Ona* jest tutaj. Gdyby Marjorie nie było w domu, ta storo zamiast tyle gadać oznajmiłaby mi to natychmiast. Wreszcie ją zobaczę. Niech лихо porwie szaleństwo przyjścia tutaj.

– Przychodzę od jej męża! – wykrzyknąłem i aż się przeraziłem własną zuchwałością.

– Och, rozumiem. Zaraz zejść.

Po chwili w czarnej masie fasady pojawił się jasnożółty prostokąt, a na jego tle rozpoznałem okrągłą sylwetkę kobiety z „face-a-main”. Śledziłem uważnie okno Marjorie, mając nadzieję, że ujrzę zaniepokojoną twarz mojej ukochanej, ale na próżno. Musiałem zaczekać jeszcze co najmniej pięć minut, zanim usłyszałem szuranie domowych pantofli. Dopiero po zwolnieniu kilku zamków uchyliły się, nadal przytrzymywane łańcuchem, drzwi. W szparze stanęła stara właścicielka, która miała na sobie ozdobioną koronkami nocną koszulę i pamiętający czasy królowej Wiktorii błękitny szlafrok z satyny. Z wrażenia musiała zapomnieć zabrać z nocnego stolika swego lorgnon. Bez gorsetu i różnych pasów, tak niezbędnych dla tłustych kobiet, przypominała worek mąki. Jej niespokojne oczy szukały mnie w ciemnościach, w które instynktownie uskokczyłem.

– Pani Faulks jest u siebie, prawda?

– Tak, ale śpi.

Nie posiadałem się z radości, wreszcie odnalazłem Marjorie. Dzielili nas zaledwie kilkumetrowa przyszczeń; dzielili nas tylko ta stara lady i trzydziestocentymetrowy łańcuch.

– Muszę z nią natychmiast pomówić.

– Ależ... poznaję pana – wyrwało się mojej rozmówczyni. – Był pan tu dziś, żeby wynająć pokój.

– Rzeczywiście... Ale teraz nie o to chodzi. Mam wiadomość dla pani Faulks. Od jej męża.

– To pan go zna?

– Właśnie on dał mi adres pani domu – oświadczyłem bez zająknięcia.

Byłem gotów pleść byle co. Musiałem zobaczyć się natychmiast z Marjorie i tylko to się w tej chwili liczyło.

– Ale dlaczego rano...?

– Zwykle nieporozumienie. Gdy przyszedłem do pani rano, nie wiedziałem, że jest w Szkocji. Zupełnie nagle spotkałem go na Princess Street. Prosił mnie, żebym skontaktował się z jego żoną. To bardzo ważne.

Zdawało mi się, że słowa, które bez żadnego zastanowienia, tak szaleńczo wypowiadałem, mogły przemienić się w strzępki konopnego sznura, na którym niebawem zawisnę. Ale nie miało to już żadnego znaczenia.

– Bardzo panią proszę, to naprawdę ważne. Bardzo ważne!

Moje błaganie wzruszyło ją. Niezręcznym ruchem odczepiła łańcuch i otworzyła drzwi.

– Proszę usiąść, sir. Zaraz ją zawiadomię.

W holu stały naprzeciw siebie dwie kanapki wyściełane czerwonym aksamitem. Usiadłem na jednej z nich i przyglądałem się, jak ta otyła, starsza kobieta, sapiąc, wspina się po stopniach. Znikła za zakrętem schodów, ale coraz głośniejsze sapanie pozwalało mu śledzić kierunek jej wędrówki. Zapukała do jakichś drzwi, początkowo cicho, potem nieco mocniej. Usłyszałem huk krwi w uszach. Czy Marjorie na pewno jest w swoim pokoju? Tak sądziła gospodyni, ale przecież dziewczynie udało się już wyjść niepostrzeżenie i zadzwonić do mnie w nocy. Coś, czego nie potrafiłem sobie wytłumaczyć, musiało stanąć na przeszkodzie, skoro nie mogła przybyć na spotkanie, które sama mi wyznaczyła.

– O co chodzi? – ktoś zapytał.

Głos był niski, przestraszony, zaspany, ale nie ulegało żadnej wątpliwości, że należał do Marjorie.

– Proszę mi wybaczyć, droga pani Faulks, ale jest tutaj jakiś pan, który ma pani coś do przekazania od męża.

– Chwileczkę.

Tuż nad moją głową usłyszałem lekkie stąpanie. Otworzyły się drzwi i obie kobiety zaczęły do siebie coś szeptać. Po chwili gospodyni wróciła, nadal ciężko oddychając.

– Już idzie – oświadczyła. – Wydaje się być silnie zaniepokojona. Mam nadzieję, że panu Faulksowi nie stało się nic złego?

Owszem, panu Faulksowi przytrafiło się coś bardzo przykrego, ale nie miałem zamiaru o tym mówić. Nie była to właściwa pora, nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości.

Starsza kobieta zatrzymała się, jakby czegoś oczekiwała. Nie miała odwagi zadawać mi pytań i zapewne zastanawiała się nad tym, co zrobić, aby być przy naszej rozmowie, a jednocześnie nie uchodzić za osobę zbyt natrętną.

Marjorie stanęła na schodach w blad różowej nocnej koszuli z paskiem. Włosy spływały po jej ramionach. W świetle holu wydały mi się jaśniejsze niż zazwyczaj. Przypominała Ofelię. Trzymając się kurczowo poręczy patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– Po co pan tu przyszedł?! – wykrzyknęła. – Już mam pana dość! Proszę stąd wyjść! Proszę wyjść natychmiast, bo zawołam policję! Co z Nevilem? Co pan zrobił Nevilowi?

Zdarza się ponoć lunatykom, że budzą się nadzy na środku Pól Elizejskich. To co muszą wówczas odczuwać, z całą pewnością jest niczym w porównaniu z tym, co ja odczuwałem w tej chwili. Marjorie, moja ukochana Marjorie, dla której bez namysłu przyjechałem z tak daleka, dla której zabiłem człowieka, ta Marjorie stała się moim wrogiem. Przyglądała mi się tak, jak to czynili

tutejsi ludzie, spojrzeniem złowrogim i agresywnym.

Uczyniłem krok w kierunku schodów. Gruba gospodyni zrobiła unik, tak jakby się spodziewała, że ją uderzę! Marjorie cofnęła się o dwa stopnie, starając się usilnie utrzymać odległość, która nas dzieliła.

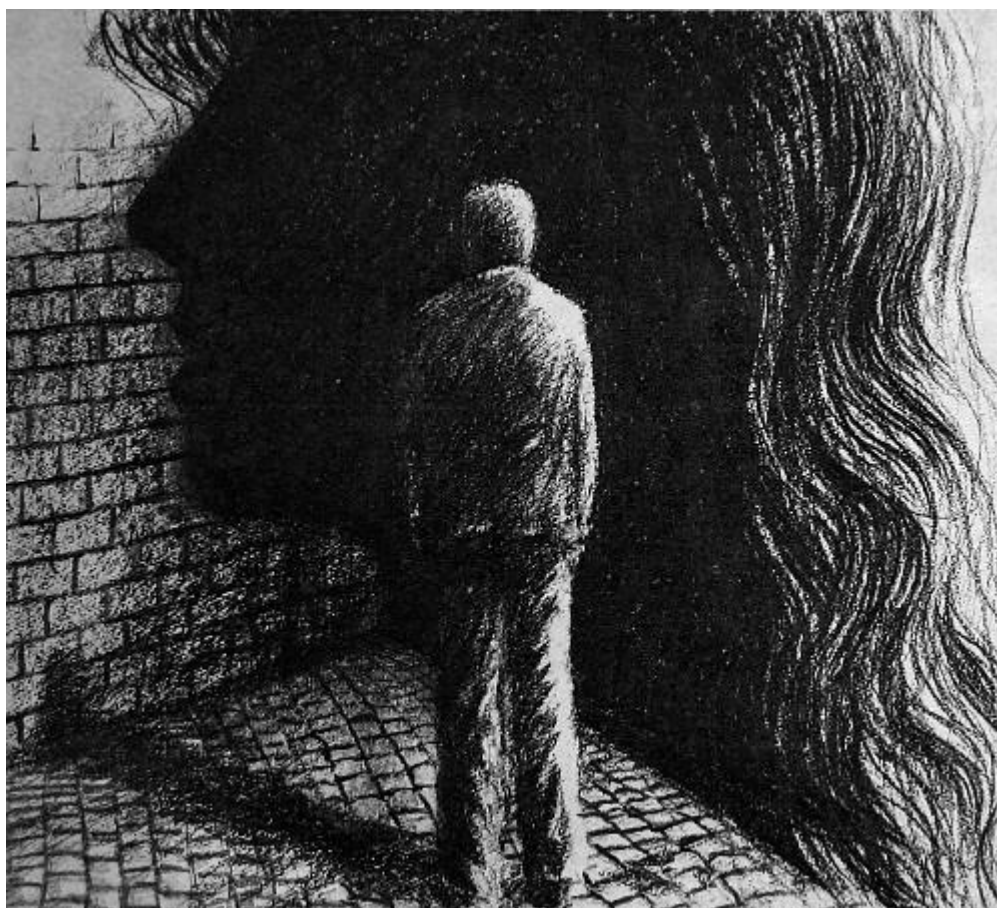
– Marjorie – rzekłem błagalnym głosem – zastanów się, proszę cię, kochanie.

Zaczęła krzyczeć. Najbardziej zdumiewające było to, że krzyk ten nie wydawał się sztuczny.

– Niech pan się wynosi! Pani Morthon! Niech pani go wyrzuci, na miłość boską! *Ten człowiek to wariat!*

Staruszka piszczała ze strachu. Wszystko to było wstrętne.

– Marjorie! Co pani...



Zanim dokończyłem zdanie, już jej nie było na schodach. Zatrzasnęła za sobą drzwi. Usłyszałem suchy trzask przekręcanego klucza.

Ogłupiały, patrzyłem na pełną godności panią Morthon tak, jakby ona mogła mi wyjaśnić zachowanie Marjorie.

– Proszę mnie nie dotykać – wyjąkała, cofając się pod ścianę.

Pokręciłem głową.

– To śmieszne – westchnąłem, odchodząc.

W chwili, gdy znalazłem się na zewnątrz, znowu zauważyłem rudego kota wążsającego się po pustej ulicy. Ledwo mnie zobaczył i już wrócił do swojej kryjówki.

## ROZDZIAŁ XVI

Szedłem bez celu, co oznaczało – pamiętając, że człowiek ma podświadomość, która wyklucza przypadki – że wkrótce znalazłem się, jak zwykle, na stanowiącej coś w rodzaju stosu pacierzowego miasto Princess Street. Idąc przed siebie, powtarzałem głośno: „Ten człowiek to

wariat! Ten człowiek to wariat!". To zdanie, bardziej niż jakiegokolwiek inne, zraniło mnie dotkliwie. Tymi słowami Marjorie właśnie mnie obrzuciła. Jak tłumaczyć tę okrutną wolę? Tchórzostwem? Gdy stanąłem przed nią, wyraźnie się mnie przestraszyła. Pomyślała sobie, że zjawiając się u pani Morthon, pubie ja. A może jej strach miał inne źródło? Może bała się mnie, bo *byłem mordercą* ?

Załamala się nagle i jej miłość do mnie przekształciła się w nienawiść. Biedny Ivanhoe! Biedny, oszukany bohaterze!

Byłem zgubiony. Marjorie postanowiła poświęcić mnie. Nie byłem teraz pewny, czy potwierdzi ona moją wersję wydarzeń na trawniku. Dziewczyna, którą widziałem no schodach u pani Morthon, aby uchronić się przed więzieniem, była gotowa na wszystko. Denise mnie ostrzegała: „Dla tego typu kobiet, wszyscy mężczyźni są bohaterami... przynajmniej na początku! ”

Wielka Brytania doświadczała mnie okrutnie. Czułem się już teraz jej więźniem. Ten przeklęty strajk pracowników komunikacji uniemożliwiał mi ucieczkę. Ba! Gdybym mógł wsiąść do samolotu i znaleźć się we Francji. Oznaczało to możliwość ukrycia się w jakimś paryskim hoteliku czy w wiejskiej oberży...

Przeszedłem przez jezdnię i oparłem się o górującą nad doliną balustradę. Princess Garden tonął w gęstych ciemnościach. Miałem wrażenie, że tam, na dole, płynie jakiś błotnisty potok. Gdyby mógł zmieść z powierzchni ziemi i zabrać ze sobą nędzne resztki Nevila Faulksa! Martwego nienawidziłem tak samo silnie jak za życia. Czy trup nadal leży na trawniku? Zapewne już nie. Policja prowadzi śledztwo i usiłuje odnaleźć miejsce, w którym się zatrzymał. W ciągu jednej nocy nie będzie w stanie obejść wszystkich „Bed and breakfast” Edynburga, o zatem dopiero nad ranem pani Morthon przeczyta w gazecie o dramacie.

Stanąłem przed alternatywą: umrzeć albo pójść do łóżka. Poszedłem spać.

\* \* \*

Zbudziłem się o świcie. Znowu padało i deszcz smagał okna pokoju ze zdwojoną zaciętością. Byłem cały spocony i dusiłem się. Ponura rzeczywistość, która – cierpliwa jak śmierć – nachylała się nad moim łóżkiem, zbiła mnie z nóg, zanim wysunąłem się z pościeli.

Wstałem z trudem i chwiejnym krokiem przeszedłem przez pokój. Bolały mnie szczęki. Zanurzyłem głowę w umywalce i przez krótką chwilę rozkoszowałem się lodowatym uczuciem duszenia się. Gdy byłem już ubrany, spostrzegłem, że zapomniałem się ogolić. Było dwadzieścia po szóstej. Dzień z trudem wynurzał się z otaczającej szarej wilgoci. Postanowiłem, że ogolę się później. Mój wygląd nie miał znaczenia. W tym mieście nie musiałem już nikomu się podobać.

Służąca w Fort William's Hotel była jedyną osobą, która wstała wcześniej ode mnie. Nakrywała stoły w jadalni, przygotowując je do śniadania. Cały parter pachniał krzepiącym zapachem świeżo parzonej kawy. Zapytałem kelnerkę, czy mógłbym otrzymać filiżankę, po chwili podała mi śniadanie przy stole w głębi sali. Jedząc, przyglądałem się, jak nucąc, pucowała boazerię jadalni. W pewnej chwili podniosła się i cała czerwona od zbyt długiego nachylania się, spojrzała w moim kierunku.

– Lovely day – powiedziałem do niej bezmyślnie.

Wybuchnęła śmiechem. Wskazała na okno wychodzące na nędzny ogród okolony wysokim murem.

– Lovely deszcz!

– Czy jest już gazeta?

– Jeszcze nie. Dostajemy o siódmej.

Odstawiłem filiżankę i skierowałem się ku drzwiom.

– Czy pan nie ma płaszcz, sir?

– Nie.

– Ani parasola?

– Również nie mam.

– Może panu pożyczyć?

Pod parasolem można ukryć twarz. Pomyślałem, że mniej się będę rzucał w oczy. Kelnerka

udała się do schowka, gdzie trzymała miotły, i wyjęło z niego kilka, zapewne zapomnianych przez gości, parasoli.

– Proszę wybierać.

Wziąłem pierwszy z brzegu. Jego rączka pokryta była czarną skórą.

– Dziękuję. Zaraz zwrócę.

– Nie spiesz się, sir.

To dobrze, że się nie spieszyło, gdyż wszystko wskazywało na to, że mogła go więcej nie zobaczyć. Przed drzwiami mogła już czekać policja, aby mnie zatrzymać.

Przed domem stały tylko dwa puste samochody. Szara i mokra ulica przypominała portową ulicę w sztormowy poranek. Wiał silny wiatr, który powodował, że przechodnie chodzili zgięci wzdłuż. Na Princess Street najbliższa księgarnia była jeszcze zamknięta, ale przy wejściu było już czynne stoisko z gazetami. Kupiłem miejscowy dziennik. Na pierwszej stronie tłusty i szeroki tytuł informował: „Strajki – nadal brak rozwiązań”. Przebiegłem szybko wzrokiem pierwszą stronę, szukając bardziej sensacyjnego tytułu: o morderstwie nie było jednak ani słowa. Na innych stronach również nic nie było. Aby nabrać pewności, kupiłem inny tytuł. Wydrukowano w nim identyczne wiadomości, niemal tymi samymi słowami i tym samym krojem czcionek tytułowych. A zatem w chwili rozpoczęcia druku gazet ciało nie zostało jeszcze odkryte. Wyrzuciłem obie gazety do metalowego kosza, przymocowanego do słupa ulicznej latarni.

Nadszedł więc pierwszy dzień mordercy. Co powinienem zrobić? Nie mogłem uciec, bo brak środków lokomocji przykuwał mnie do tego miasto. Nie mogłem udać się do Marjorie, skoro byłem dla niej już tylko mordercą wzbudzającym nienawiść! Bezczynność męczyła mnie. Byłem przytłoczony ciężarem otaczających mnie poczerniałych budowli, a każdy przechodzień smagany deszczem wydawał mi się mającym mnie ująć policjantem. Zacząłem myśleć o samobójstwie i z trudem odrzucałem tę wątpliwą pokusę. Są chwile, kiedy chęć śmierci bywa tak samo silna jak chęć życia. Staje się ona podobna do potrzeby snu, która ogłusza zmysły i umysł. Ale jak tu umrzeć? Można być zrozpaczonej a jednocześnie wrażliwym na ból. Bałem się bólu, bo tak naprawdę, to nigdy go nie doznałem. Zapewne to sprawa wyobraźni.

Przyszła mi nagle myśl do głowy tak wspaniała, że wywołała we mnie falę prawdziwej radości: trzeba pójść na policję i wszystko im opowiedzieć. Nie było sensu dalej lazić tak po tym obcym mieście aż jakiś glina położy mi rękę na ramieniu. Tak: najlepiej byłoby oddać się w ręce policji i opowiedzieć wszystko. Wszystko!

Nie powinno być trudności z udowodnieniem, że rewolwer należał do Nevila Faulksa! Szkołki sądy przysięgłych muszą uznawać zasadę obrony własnej. Ale – wiedziałem to – potępiają też cudzołóstwo. To, co u nas stanowi zawsze okoliczności łagodzące, a mianowicie namiętność, w Wielkiej Brytanii staje się okolicznością obciążającą.

Przeszedłem przez główne skrzyżowanie Princess Street i zbliżyłem się do policjanta, który regulował ruch. Miał on na sobie nieprzemakalny płaszcz z białego materiału, a na czapce pokrowiec z plastyku.

– Czy można prosić o adres komisariatu głównego policji, sir?

Mieścił się w starej części Edynburga, po drugiej stronie doliny. Policjant był na tyle uprzejmy, że podał mi numer autobusu, którym najlepiej tam można się dostać. Ale nie miałem ochoty zaraz tam jechać. Wolałem pochodzić pod pożyczonym parasolem. Najważniejsze było, że wiedziałem, dokąd pójść. A przed sobą miałem tyle czasu, ile dusza zapagnie. Krople deszczu uderzające w napięty jedwab jak po blaszanym dachu.

Dół moich spodni był cały mokry, a zbyt cienkie letnie pantofle przemoczone na wylot. Miekkim krokiem szedłem alejką spadającą łagodnie w stronę teatru.

Nie mogłem oprzeć się chęci rzucenia okiem na trawnik. To było silniejsze ode mnie. Czyż morderca nie wraca na miejsce zbrodni? Jakaś niezdrowa ciekawość kazała mi tam pójść. Okrążyłem estradę i zacząłem iść alejką prowadzącą do kotliny, gdzie zamordowałem Faulksa. Wszystko dookoła nadal wydawało mi się nierealne. Zastanawiałem się nad tym, że nigdy nie miałem parasola i czułem się nieswojo trzymając w dłoni skórzaną rączkę. Szedłem pochylony, co spowodowało, że mogłem widzieć co najwyżej na dwa metry. Wyglądało to tak, jakbym chciał

przedłużyć chwilę odkrycia dramatycznego miejsca.

I tak istotnie było. Utrzymanie się w stanie niepewności stanowiło próbę ucieczki od rzeczywistości. Tak jak odkładałem chwilę oddania się w ręce policji, również dochodząc do miejsca dramatu, odsuwałem moment, w którym mogłem stwierdzić, czy ciało leżało nadal na swoim miejscu czy nie.

Rozpoznałem miejsce, na którym powinien być klomb w formie gwiazdy. Rozkopana ziemia była tłusta i gdzieś tam niemal błękitnymi plamami odbijała światło. Jeszcze kilka kroków. Zatrzymałem się. Podniosłem parasol trochę jak linoskoczek łapiący równowagę. Trup, cały mokry od deszczu leżał na ziemi, a obok niego mokry rewolwer. Nie mogłem się oprzeć, żeby nie dotknąć nogi Nevila Faulksa. Czyżbym liczył na cud? Była całkiem sztywna, jakby z drewna. Kula przeszła przez czaszkę na wylot i z tyłu głowy jakaś ohydna czerwona maź zlepiła włosy trupa.

Wbiłem parasol w trowę. Deszcz zamieniał się w lepki i słoną mżawkę.

Jeżeli modlitwa polega na oderwaniu własnego umysłu od doczesności, to wydaje mi się, że modliłem się w skupieniu nad zwłokami Nevila Faulksa. Zazdrościłem mu. Przypomniałem sobie nagle słowa modlitwy: „Od nagłej i niespodziewanej śmierci zachowaj nas, Panie”!

A przecież musiałem umrzeć. I to zapewne niebawem, gdyż nie wierzyłem, żeby się znalazł sąd na tyle wspaniałomyślny, by mnie rozgrzeszyć z tego morderstwa. Było to mało prawdopodobne. Wyobraziłem sobie, że stoję przed brytyjskim sądem z sędziami w perukach. Przerazali mnie niczym istoty z innej planety.

Nie mogłem dopuścić, aby mnie sądzili. Przecież nie należałem do nich.

Dziwne było to widowisko rozgrywające się na tym szerokim trawniku, na którym morderca stał nad swoją ofiarą. A nad nimi wznosił się potężny zamek z wieżami i blankami, z niedorzecznie wymierzonymi w stronę nowego miasta armatami z brązu, ze zbrojownia i skarbcem, z kaplicami, spośród których jedna obwieszona była postrzępionymi flagami. Dziś wieczorem, a może jutro, policjanci odtworzą w tym samym miejscu przebieg zbrodni, z tym tylko, że miejsce zabitego zostanie zajęte przez żywego człowieka, który po strzale podniesie się, otrzepie i uda się do jednego z tych przytulnych i szczelnie zamkniętych domów, do których z trudem przebija się światło dzienne.

Z miłości do Marjorie! To brzmiało jak tytuł powieści dla kucharek. Pastelowa, błękitna okładka z romantyczną, krągłą czcionką! Z miłości do Marjorie!

Czy była to rzeczywiście obrona własna? Starłem się odtworzyć wszystkie swoje ruchy i myśli z chwili, gdy rozgrywał się dramat. Nevil trzymał żonę za gardło; dusił ją. Ja miałem w ręku broń. Mogłem uratować Marjorie, nie zabijając jej męża. Cios w kark byłby całkiem wystarczający, aby go zmusić do puszczenia ofiary. Ale ja w pełni świadomie skierowałem lufę rewolweru w jego twarz. I strzeliłem bez namysłu. Było to więc zwyczajne morderstwo! I każdy będzie w stanie udowodnić, że z premedytacją, nawet jeśli owa premedytacja trwała zaledwie cztery czy pięć sekund.

Rozejrzałem się dookoła, tak samo jak wczoraj w Princess Garden panował spokój. Daleko stąd, bardzo daleko, widziałem, jak dwaj ogrodnicy krzatali się przy jakimś klombie. Trzeci ścinał trawę małą kosiarką, której silnik wypełniał warkotem całą kotlinę. Przy kwietnym zegarze spacerowała para zakochanych: zapewne jacyś urzędnicy, którzy przed pójściem do pracy całowali się w tym odludnym miejscu i zapewniali się o dozgonnej miłości.

Wyszedłem z parku.

\* \* \*

– O jaką łopatkę chodzi, sir?

Sam nie wiedziałem i machnąłem ręką, dając do zrozumienia, że zostawiam wybór handlarzowi żelastwa, starszemu mężczyźnie, z łysą głową i fioletowym nosem, na którym tkwiły staroświeckie binokle.

– Do czego ma służyć, sir?

Nie mogłem mu powiedzieć, że mam zakopać pod trawnikiem jakiegoś pana.



– Jadę na kemping – odparłem.

– Rozumiem.

Wyjął z przegródki dwie składane łopatkki. Były to solidne narzędzia z grubego żelaza, o krótkich trzonach zakończonych trójkątnym uchwytem. Obie łopatkki różniły się tylko wymiarami. Wybrałem mniejszą, zapakował mi ją fachowo w karbowaną tekturę.

Czułem, że mój plan jest bez sensu, ale od początku tej całej historii systematycznie wybierałem rozwiązania odbiegające od tych, jakie dyktuje zdrowy rozsądek. Stojąc nad zwłokami Faulksa pomyślałem sobie, że gdyby udało mi się odwlec o czterdzieści osiem godzin odkrycie trupa, mógłbym mimo strajku wrócić do Francji. Ułożyłem sobie fantastyczną trasę: dojechać autostopem do wybrzeży Atlantyku, wynająć łódź rybacką i popłynąć do Irlandii. Tam wsiąść do pociągu, który prawdopodobnie kursuje normalnie, bo nie ma chyba strajku, i dojechać do Shannon, wielkiego międzynarodowego lotniska, na którym zatrzymywały się samoloty wielkich transoceanicznych linii. Na to trzeba było czterdziestu ośmiu godzin. A może i mniej... Wystarczyło trzydzieści godzin. Zamiast myśleć o autostopie, mogłem kupić motorower. Byłoby to pewniejsze. Jak długo trzeba jechać do Glasgow?

Wychodząc ze sklepu z artykułami żelaznymi, stwierdziłem ze zdziwieniem, że zrobiła się niemal piękna pogoda. Przestało padać i słońce torowało sobie drogę między lekkimi chmurami. Ulice się zapełniły.

Dochodząc do trupa, zamarłem. Jakaś młoda mama zbliżała się do nas, gaworząc z trzy- lub czteroletnią córeczką. Dziewczynka trzymała matkę za rękę i co pewien czas wybiegała na trawnik, żeby zrywać stokrotki. Kobieta miała na sobie szary płaszcz z pagonami, a jej rude włosy błyszczały pod plastikowym kapeluszem.

Za chwilę zauważy ciało. Nie może go dostrzec. Ukląknęłam obok Nevila.

– Stary, lepiej wstań z tej mokrej trawy, bo się nabawisz reumatyzmów – powiedziałem do niego, śmiejąc się.

Głos mój przypominał zgrzyt zardzewiałych zawiasów. Kobieta z dzieckiem przeszła dalej, przyglądając się ciału.

– Dlaczego ten pan śpi? – zaszczebotała dziewczynka.

– Bo się zmęczył spacerem, Sally.

Szły ślimaczym tempem. Obawiałem się, że kobieta zacznie mieć wgtpliwości i powróci, aby bliżej się przyjrzeć mężczyźnie zwróconemu twarzą do mokrej trawy. Ale zbyt zajęta własnym dzieckiem, zapomniała już o wszystkim. Gdy znikły, natychmiast wziąłem się do pracy. Nie była ona skomplikowana. Dół trzeba było wykopać w miękkiej ziemi klombu. Dół na tyle duży, aby mogło się zmieścić w nim ciało Nevila Faulksa. Pracowałem ukradkiem. Wilgotna gleba przyklejała się do łopatkki. Wykopałem rów, układając ziemię po jego obu stronach. Przerzywałem pracę co dwadzieścia sekund, żeby się rozejrzeć dookoła. Ogród zaczynał się zapełniać spacerowiczami.

Starsza para, trzymając w ręku składane krzeselka, szła w moim kierunku. Zatrzymali się ja kieś dwadzieścia metrów ode mnie i rozłożyli przyniesiony sprzęt. Niespodziewanie zabłysło między chmurami słońce i mokre trawniki zaczęły lśnić. Otworzyłem parasol i zakryłem nim rozstrzaskaną głowę Nevila. Można było sądzić, że zasnął. Ciekawe, co teraz robiła Marjorie?

Może po prostu czekała na coś, albo wyczerpana nerwowo poszła na policję? To, co teraz robiłem, skazywało mnie nieodwołalnie, gdyż zakopywanie zwłok świadczyło o moim łajdactwie. Któż teraz uwierzy, że zabiłem tego człowieka, bo mi groził?

Starsza pani, która rozsiadła się nie opodal przybyła w towarzystwie psa, obrzydliwego kundelka o białoczarnej sierści. Gdy już siedzieli, mężczyzna spuścił go ze smyczy. Pies po kilku okrążeniach, wykonywanych pozornie bez celu, rzucił się, głośno szczekając, w naszym kierunku. Miał wyłupiaste oczy i był to najbrzydszy kundel, jakiego mi się kiedykolwiek przytrafiło oglądać. Jego pani wołała na niego coraz głośniejszym głosem, ale pies udawał, że jej nie słyszy. Bezskutecznie odpychałem go nogą.

Staruszek widząc, że na nic zdadzą się krzyki, podniósł się i przydreptał do nas. Był bezzębny i miał wygląd emerytowanego kamerdynera. Nos i broda niemal się stykały. Machał groźnie

smyczą, ale pies najwyraźniej nie przejmował się tym.



– Pudding, do nogi! Dostyc tego!

Złapał psa za obrozę, zaczepił smycz i zaczął go ciągnąć. Obrzydliwe kundlisko, zapierając się tylnymi łapkami, zatoczyło się i pchnęło parasol, odsłaniając Faulksa. Była to dla mnie straszna chwila. Staruszka uderzyła dziwna pozycja mojego towarzysza, a zwłaszcza jego absolutna nieruchomość.

– Chory? – zapytał.

Nie wiem, jak mi się udało uśmiechnąć się i mrugnąć okiem.

– Wypił za dużo whisky. Bawiliśmy się całą noc i wołałem, żeby przed powrotem do żony wypoczął. To straszna baba. A teraz śpi jak suseł.

Staruszek uśmiechnął się, pokazując blade, bezzębne dziąsła.

– Niech go pan lepiej przykryje, mokra trawa bywa zdradliwa.

Odszedł, ciągnąc za sobą spokojnego już teraz psa. Cały czas obawiałem się, że się nachyli i zauważy obrzydliwą ranę na karku Nevila. Bałem się, że spojrzawszy w prawo, zwróci uwagę na wbitą w ziemię łopatę. A najbardziej obawiałem się, że zainteresuje się bladością mojej twarzy. Na szczęście był to bardzo stary człowiek, dla którego istniały tylko żona i wstrętny Pudding.

Dół był już wystarczająco duży. Ale jak przenieść do niego zwłoki w taki sposób, aby nie zwrócić uwagi staruszków? Musiałem zaczekać, aż odejdą. Siedziałem po turecku tuż obok zabitego, żując dla zabicia czasu i zachowania spokoju żdźbła trawy. Co pewien czas zmieniałem nogą położenie Faulksa, aby moi sąsiedzi myśleli, że porusza się przez sen. Tak minęły nieskończenie długie dwie godziny. Czulem, jak powoli tracę zmysły. Słońce wydawało mi się skakać między białymi chmurami. Chowało się, wracało na krótko i znowu znikało. Trawnik jaśniał i ciemniał na przemian. Cień parasola dziwacznie tańczył dookoła tułowia Faulksa. Czulem, że drętwieję. Zapomniałem, gdzie się znajduję i po co tu jestem. Chciało mi się spać. Gdy już oczy mi się sklejały, silne uderzenie rzeczywistości przywracało mnie do przytomności. Podskakiwałem wtedy, jak człowiek, który śni, że spada w nicłość.

– Cicho bądź, Pudding!

Spojrzałem w stronę staruszków. Odchodzili. Pies znowu szczekał, ale tym razem z radości.

Kobieta trzymała go na smyczy, a mężczyzna składał krzeselka. Trzymał je za oparcia z płótna, co wymagało mniej wysiłku przy ich noszeniu.

Ich powolne ruchy, nosowy i monotony sposób mówienia wydawały mi się bardziej denerwujące niż minione chwile oczekiwania.

Wreszcie sobie poszli. W ostatniej chwili mężczyzna spojrzał w moim kierunku i skinął głową.

## ROZDZIAŁ XVII

Dół nie był zbyt głęboki, toteż gdy przykryłem ciało Faulkso ziemią, mały wzgórek pośrodku klombu nie był zbyt widoczny. Aby nie zwracał uwagi, wyrównałem go najlepiej jak umiałem. Obszedłem klomb dookoła, żeby ze wszystkich stron przyrzeć się własnemu dziełu. Wzgórek nie powinien wzbudzać podejrzeń, wyglądał bowiem, jakby został zrobiony celowo. Uspokoilem się nieco, owinąłem łopatkę w jej pierwotne opakowanie i zastanowiłem się, gdzie ją wyrzucić.

Princess Garden, jako zbyt ryzykowne miejsce, odpadał. Tutaj nawet kapsel od butelki leżący na wystrzyżonej trawie wydawał się czymś nieprzyzwoitym. Odkrycie przedmiotu nie używanego tu przez ogrodników mogło wzbudzić ich podejrzania i – kto wie? – doprowadzić do natrafienia na ukryty grób.

Opuściłem ten ohydny trawnik, trzymając parasol pod jedną pachą, a łopatkę pod drugą. W miejscu, po którym ciągnąłem ciało, trawa była lekko zmięta, ale najbliższa ulewa na którą nie trzeba będzie długo czekać, przywróci jej pierwotny, zdrowy wygląd. Moje pantofle i mankiety spodni były mocno zobłocone. Zanim znalazłem się na Princess Street, doprowadziłem je jako tako do porządku. Miałem ochotę się wykapać i zmienić ubranie.

Wracając do „Fort William's Hotel”, myślałem o Marjorie – co mnie nawet zdziwiło – bez jakiegokolwiek smutku. Ponure zajęcie, któremu przed chwilą się poświęciłem, jakby wyleczyło mnie z uczucia do niej. Już w Juan-les-Pins, tuż po jej wyjeździe, moja fascynacja nią wygasła oby nagle, po otrzymaniu jej listu, powrócić ze zdwojoną siłą. Wyglądało na to, że byłem zauroczony, bo z dola od niej przytomniałem.

Hotel tym się różnił od sąsiednich domów tej spokojnej ulicy, że nad jego drzwiami wisiał szyld o złotych literach. To skromność uspokajała. Wchodząc, poczułem się zmęczony i zastanawiałem się, czy przed wyruszeniem w drogę nie należałoby się kilka godzin przespać. Zmęczenie sprawiało, że stawałem się nieostrożny. Nie wolno było poddać się temu. Gdybym teraz zaczął się łamać, gotów byłbym czekać na koniec strajku, aby wyjechać.

Służąco myła posadzkę holu. Spojrzała na mnie wzrokiem bez wyrazu.

– Oto pani parasol. Dziękuję za przysługę, przydał mi się bardzo.

Ponieważ dalej się nie odrywała, trzymając oburącz brudną ścierkę, zapytałem jeszcze:

– Gdzie mam go postawić?

– Gdyby pan zechciał mi go podać, sir...

Odwrociłem się w stronę, skąd padły te słowa i stanąłem jak wryty, zupełnie jakby ktoś uderzył mnie w twarz. W drzwiach salonu stał mężczyzna średniego wzrostu. Miał na sobie czarny nieprzemakalny płaszcz, a w ręku trzymał filcowy kapelusz.

– Proszę tędy – powiedział, przepuszczając mnie przed sobą do małego pokoju, w którym główne miejsce zajmował telewizor.

Wszedłem.

– Inspektor Brett!

Skinąłem głową, smętnie, tak jakbym wiedział że istnieje w ogóle jakiś inspektor Brett.

W pokoju siedział właściciel hotelu. Widocznie dotrzymywał towarzystwa policjantowi, udzielając mu informacji na mój temat.

Pełne potępienia spojrzenie, jakim mi się przyglądał, było komiczne. Staruszek wyraźnie określał, po czyjej stronie stoi.

– Czy nazywa się pan Jean-Marie Valaise? (wymowiał Dzion Merry Velojse).

– Tak. Czy mogę wiedzieć, o co chodzi?

Najdziwniejsze było to, że inspektor rzeczywiście zabrał mi parasol i zawiesił go sobie na ramieniu.

– Jest mi niezmiernie przykro, że się panu naprzykrzom, mister Valoise, ale muszę pana prosić, żeby pan udał się ze mną.

Znałem formułę. I pomyślałem sobie, że „wszystko wzięło w łeb”. Było tak jak wtedy, gdy zdawałem egzamin na wyższą uczelnię. Wertowałem listę przyjętych i nie mogłem odnaleźć swego nazwiska, które winno być na samym końcu, pod literą V. Wówczas także delektowałem się myślą, że „klops”. Klęska potrafi też być rozkoszna, upojna. Może nie tak jak zwycięstwo, ale za to sięga głębiej...

– W związku z czym, proszę pana?

– Chciałbym pana prosić o informacje na temat pewnej sprawy.

– Czy nie można tego zrobić tutaj?

– Nie sądzę, żeby to było możliwe.

W tym człowieku tkwiły spokój i upór policjanta. Jego czoło było wypukłe, różowe i łyse. Nos jak wiśnia i równie czerwone kości policzkowe. Jego tępe spojrzenie świadczyło o uporze.

– A gdybym odmówił? – odparłem zirytowany.

Nie rozgniewał się, ale wyjął z kieszeni jakiś szary dokument.

– Mam nakaz, sir. Proszę mi wybaczyć, jeśli od razu nie pokazałem go panu.

– Skoro tak, idę z panem.

– Wydaje mi się to rozsądne.

– Czy mógłbym się przedtem ogolić?

Pomyślałem o zabłoconej i zawiniętej w tekturę łopatce, którą nadal trzymałem w ręku. Gdyby zgodził się na moją propozycję, mógłbym jakoś się jej pozbyć, pałowałem, że nie wyrzuciłem jej wcześniej, choćby do jakiegoś ulicznego kosza no śmieci.

– Wolałbym, żebyśmy szybko skończyli, sir. Być może nie potrwa to zbyt długo.

Było to powiedziane grzecznie, ale stanowczo. Nie było sensu nalegać.

– A zatem chodźmy.

Opuściliśmy salon. Policjant, zdziwiony, przystanął nagle. Od razu zrozumiałem, co go tak zaskoczyło: na mokrej posadzce widniały ślady pozostawione przez moje zabłocone buty. Służąca nadal tu była, ale jeszcze niczego nie zauważyła. Wzrok gliny wędrował teraz od tych śladów do moich zabłoconych pantofli. Dwu- czy trzykrotnie pociągnął nosem, a następnie bez słowa skierował się ku wejściu wielkimi susami, aby nie chodzić po mokrym. Zastanawiałem się beznadziejnie, w jaki sposób pozbyć się tej cholernej łopatki.



Może zostawić ją w holu? Ale właściciel odniesie ją zaraz inspektorowi Brettowi.

Stałem na ulicy, u boku policjanta, nadal trzymając pod pachą źle związaną paczkę, natomiast on dzierżył parasol. W tym kraju, w którym ludzie rodzą się z parasolem w ręku, wyglądało to na zwykły odruch. Widocznie inspektor zapomniał, że parasol nie był jego własnością.

Potężny czarny jaguar z niebieską latarką na dachu był zaparkowany na sąsiedniej ulicy. To mnie zastanowiło. Zrozumiałem, że jeśli Brett kazał zatrzymać się nie w pobliżu hotelu, to uczynił to prawdopodobnie dlatego, że nie chciał mnie spłoszyć. Jeśli tak było, oznaczało, że uważa mnie za winnego poważnego przestępstwa.

Policjant w mundurze czekał oparty o maskę. Gdy nas zauważył, usiadł za kierownicą i założył pas bezpieczeństwa.

Brett otworzył tylne drzwi. Wsiadając, potknąłem się i wrzuciłem kompromitującą paczkę pod samochód. Usiadłem ze spokojną miną, pozwalając sobie na ukłon w stronę kierowcy. Nie odpowiedział, czekał aż Brett zajmie miejsce.

Inspektor westchnął z zadowoleniem i usiadł ciężko obok mnie. Na kolanach trzymał łopatkę.

## ROZDZIAŁ XVIII

Budynek komendy policji miał co najmniej czterysta lat i na pewno był zaliczany do zabytków historycznych miasta. Miał przepiękną fasadę. Przed przekroczeniem jego progu podziwiałem średniowieczne okna i rzeźbione gzymsy.

Wnętrze zupełnie nie odpowiadało temu, co zapowiadała ściana frontowa. Z budynku wyluskano wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość historyczną i zbudowano jasne, przestronne pomieszczenie biurowe, w których przeważały chromy i plastik. Inspektor Brett poprosił, żebym usiadł, a sam zdjął płaszcz. Miał pod nim smutny brązowy garnitur, który był pomięty i wymagał odprasowania, zwłaszcza na kłapach. Zawiesił czarny nieprzemakalny płaszcz i filcowy kapelusz no wieszaku, a następnie, po krótkiej chwili wahania, położył parasol i łopatkę na swoim biurku, tak jakby już traktował te przedmioty jako dowody rzeczowe. Przez cały czas jazdy

obmacywał paczkę. Jakby chciał odgadnąć co się w niej znajduje. Wreszcie podarła się tektura w miejscu, w którym znajdowało się ostrze i policjant pobrudził sobie palce błotem.

Usiadł. No bibularzu leżała otwarta teczka. Zawierała tylko jedną kartkę papieru, na której było coś nagryzmołone. Brett, zanim zwrócił się do mnie, przerzucił notatki.

– Zna pan mrs Marjorie Faulks, sir?

– Oczywiście.

– A Neviła Faulksa, jej męża?

– Nie miałem zaszczytu go poznać.

Uchwyciłem nikły dźwięk podobny do chrobotu myszy. Dopiero wtedy zauważyłem, że na biurku znajduje się mały mikrofon skierowany w moją stronę. Brett właśnie uruchomił magnetofon. Spozrzegł, że patrzę na mikrofon, i wówczas po raz pierwszy od naszego spotkania lekko się uśmiechnął.

– Ach, tak. Muszę pana uprzedzić, że cokolwiek pan teraz powie, może zostać użyte przeciw panu. Nazywa się pan Jean-Marie Valaise, prawda?

– Już mnie pan o to pytał i dałem twierdzącą odpowiedź.

– Mieszka pan w Paryżu?

– 26 rue des Plantes!

– Pana zawód?

– Sprzedawca maszyn do liczenia.

– Od jak dawna zna pan mrs Faulks?

Zamknąłem oczy. Miałem wrażenie, że Marjorie zajęła miejsce w moim życiu od bardzo dawna

– Poznałem ją w ubiegłym tygodniu w Juan-les-Pins.

– W jakich okolicznościach?

– Pomyliła samochody i wsiadła do mojego wozu.

– Później, po tym zdarzeniu, spotkał ją pan panownie?

– W kasynie, całkiem przypadkowo.

– A potem?

– Zostawiła torbę plażową w moim wozie i przysłała do mojego hotelu, żeby ją odebrać.

– I co dalej?

– O co panu chodzi, inspektorze? Po co te pytania?

Z powodu mikrofonu miałem wrażenie, że nie mówię do policjanta, lecz do ukrytych słuchaczy. Odczuwałem w pobliżu czyjąś obecność, tak jakby osaczyły mnie jakieś niematerialne istoty.

– Mrs Foulks złożyła skargę przeciw panu, mister Valoise,

– Co!?

– Twierdzi, że od czasu waszego spotkania na Lazurowym Wybrzeżu pan narzuca się jej w natrętny sposób. Zagroza pan spokojowi jej ogniska domowego. Miał pan nawet grozić jej mężowi!

Odłonił mi się obraz całkiem odmienionej Marjorie: perfidnej i wyrachowanej. Co za dziwka! Chciała, abym sam odpowiadał za zabójstwo jej męża. Jej makiawelowski plan przyprawił mnie o mdłości; nie miałem już nawet siły mieć jej tego za złe. Pomyślałem o plaży w Juan, o Denrse, o obiadach w restauracji na świeżym powietrzu, pachnącym wilgocią, o moim nagrzanym słońcem pokoju na wprost garażu...

Rzuciłem to wszystko dla jakiejś głupiej mrzonki. Zgubiłem się sam bez powodu, w przekonaniu, że kocham tę na wpół zwariowaną kobietę.

Milczałem dalej. Brett zaczął nalegać:

– Co ma pan do powiedzenia?

– To kłamstwo.

– Dlaczego więc napisał pan ten list miłosny?

Wyjął z szuflady biurka tekst pisany na maszynie, wyjaśniając:

– To angielskie tłumaczenie pańskiego listu. Oryginał znajduje się obecnie w naszym laboratorium.

Widać, że od rana nie marnowali czasu. Podobnie zresztą jak ja!

– Prawdą jest, że zakochałem się w mrs Faulks, ale odrzucam twierdzenie, jakobym narzucał się jej w natrętny sposób, panie inspektorze.

– Czy pan zaprzecza również temu, że dziś w nocy, o godzinie pierwszej, przybył pan do jej mieszkania?

– Nie, ale...

– Oświadczył pan właścicielce domu, że Faulks prosił pana o przekazanie jakiejś wiadomości jego żonie, czy tak?

– Był to podstęp, aby móc się z nią zobaczyć....

– Dlaczego chciał pan się z nią widzieć o takiej porze?

Na to nie miałem odpowiedzi. A w ogóle, czy warto było dalej walczyć, skoro czułem, że idę na dno jak kamień?!

– Wiedział pan, iż mr Faulksa nie było wtedy u mrs Morthon?

– Wcale nie!

– Musiał pan wiedzieć, że go nie ma, skoro utrzymywał pan, iż przychodzi od niego!

Przyglądał mi się oczami bez wyrazu, jego krótkie, masywne ręce, pokryte rudym owłosieniem, spoczywały na teczce. Nie miał tego wyrazu kota polującego na myszy, który zazwyczaj przypisuje się policjantom. Musiał to być człowiek sumienny, działający bez uniesień, którego główną bronią była logika.

Odchrząknąłem.

– Nie wiedziałem, że mr Faulks towarzyszył żonie w Edynburgu.

– Czyżby?

– Nic o tym nie wiedziałem!

– A jednak mrs Faulks twierdzi, że podszedł pan do niej wtedy, gdy szła w towarzystwie męża.

– Kłamie.

– Po co miałyby kłamać?

– Tego nie wiem, ale wiem, że kłamie.

– Dlaczego złożyła skargę przeciw panu?

– Sam chciałbym to wiedzieć.

– Nigdy nie widział pan Faulksów razem?

– Nie.

– Nie umówił się pan z mr Faulksem na rogu Frederik Street i Princess Street o jedenastej w nocy?

To pytanie spadło na mnie niespodziewanie, że oniemiałem z wrażenia. Dotąd w perfidii Marjorie tkwiła jakaś logika. Pojmowałem, o co jej chodziło: miałem uchodzić za natrętnego maniaka. Myślała zapewne, że donosząc na mnie policji, obciąży mnie, jednocześnie kryjąc siebie. Ale, u diaska, po co to całe zamieszanie z tym spotkaniem wyznaczonym po zamordowaniu Nevila? Nic z tego nie rozumiałem i zaczynało mnie to niepokoić nie mniej niż niewypowiedziane wprost oskarżenie.

– Nigdy się nie umawiałem z mr Faulksem.

– A zatem, co pan robił dziś w nocy na rogu Frederik i Princess Street?

– Czekałem na mrs Faulks. To ona mi wyznaczyła spotkanie. Nie przyszła. Zaniepokojony, postanowiłem udać się do jej pensjonatu.

– O której wyznaczyła panu to spotkanie?

– Zadzwoił do mnie w jej imieniu jakiś barman. Była za dwadzieścia jedenasta!

– Według słów jej gospodyni, tego wieczoru mrs Faulks ani raz nie wyszła ze swego pokoju.

– Niech pan posłucha, inspektorze, myślę, że mrs Faulks jest ladacznicą, a mrs Morthon starą wariatką.

– Wydaje mi się, że pan się posuwa za daleko, mr Valaise. Mrs Morthon jest wdową po pułkowniku Morthonie, który w szczególny sposób wyróżnił się w czasie ostatniej wojny.

– Można być wdową po pułkowniku i być stukniętą! – zagrzemiałem, nie panując już nad sobą.

– Mam już tego dość, inspektorze! A zatem Marjorie Faulks twierdzi, że się jej naprzykrzałem? Chce, żebym uchodził za psychopatę. A ja panu udowodnię, że jest całkiem odwrotnie – zna pan francuski?

– Bardzo słabo!

– Skoro macie tłumaczy, proszę im dać do przełożenia ten list napisany ręką Marjorie. Otrzymałem go cztery dni temu w Juan-les-Pins.

Z portfela wyjąłem płomienny list, który zdecydował o mojej podróży.

Pogratulowałem sobie, że go zachowałem. Dzięki niemu będę mógł nareszcie pokazać prawdziwe oblicze tej dziwki.

Policjant wziął list do ręki. Nacisnął przycisk biurofonu.

– Niech Morrow wpadnie do mnie – powiedział cicho.

W chwilę później do pokoju wszedł chudy dryblas, który potwornie zezował. Brett wręczył mu list, prosząc go o przetłumaczenie. Nowo przybyły władał doskonale francuskim, bowiem przedstawiony sobie tekst przełożył błyskawicznie. Opierając brodę na dłoni, inspektor zamienił się w słuch. Trudno było odgadnąć, co myśli jego spokojna twarz – wyrażała znużenie i uprzejmość człowieka, który zmuszony jest do wysłuchania opisu syna przyjaciół, zasiadającego do pianina. Gdy tłumacz skończył, Brett odebrał list i włożył go do teczki.

– Zwrócę go panu później, mister Valaise. Czy zachował pan kopertę?

– Nie, wyrzuciłem ją.

Pociągnął nosem, a następnie zwrócił się do swego współpracownika:

– W porządku, Morrow, nie jest mi pan już potrzebny.

Znowu byliśmy sami. Sami z tym mikrofonem który perfidnie rejestrował nawet moje westchnienia.

– Muszę pana prosić, żeby pan przeszedł do sąsiedniego pokoju i tam poczekał cierpliwie, sir. Jeżeli chce pan, aby przyniesiono panu coś do jedzenia, moi ludzie są do pana dyspozycji.

Znowu sięgnął po biurofon, aby wydać jakieś polecenia. Zjawił się policjant w mundurze.

– Tędy, sir.

Już szedłem posłusznie za nim, gdy rozległ się głos Bretta:

– Przepraszam pana, mister Valaise, ale chciałem jeszcze pana o coś prosić...

Tektura, w której znajdowała się łopatką, była rozdarta. Leżące na jego biurku narzędzie nabierało groźnego znaczenia.

– Czy mógłbym pana zapytać, w jakim celu spacerował pan po mieście z tą zabłoconą łopatką?

– Znalazłem ją.

Zabrzmiało to żałością i ogarnęło mnie uczucie wstydu, że uciekłem się do tak nędznego wykrętu.

Ruchem głowy Brett dał do zrozumienia policjantowi, że można mnie zabrać.

\* \* \*

Sąsiedni pokój był o wiele mniejszy od gabinetu inspektora. Stały w nim dwa stoły i kilka krzeseł z metalowych rur, takich jakie się widzi w tanich restauracjach. Na jednym ze stołów stały dwa aparaty telefoniczne i maszyna do pisania, na drugim zaś leżało kilka czasopism technicznych, poświęconych brytyjskiemu przemysłowi samochodowemu. Policjant kazał mi usiąść i zapytał, czy napiłbym się lub zjadł coś. Odmówiłem. Wówczas zasiadł do maszyny i przeprosiwszy mnie zabrał się do przepisywania w kilku egzemplarzach jakiegoś tekstu gęsto pokrywającego leżące obok luźne kartki. Młody mężczyzna był najwyraźniej zwolennikiem starannej pracy.

Zacząłem przeglądać pisma. Nie chciało mi się czytać po angielsku i ograniczałem się do obejrzenia zdjęć samochodów. Pisma były dość stare, a samochody w nich przedstawione wychodziły już z mody.

Brett stanął w drzwiach. W rękę trzymał łopatkę i bez, słowa przemierzył pokój. Przechodząc obok mnie, uśmiechnął się. Dopiero stanąwszy w przeciwległych drzwiach przystanął i zanim



wyszedł, rzucił w moją stronę:

– Ach, mister Valaise, nie wiem, czy już panu mówiłem, że od wieczora Nevil Faulks nie powrócił do żony?

## ROZDZIAŁ XIX

Od pierwszej chwili pobytu w Szkocji spędzałem czas na czekaniu. Edynburg stał się dla mnie ponurym czyścem, w którym czyhojąc na dźwięk dzwonka lub czyjeś przybycie odpokutowałem własne grzechy. Godziny wlokły się bez końca. Stale miałem nadzieję, że życie powróci do swego normalnego rytmu, ale nadal toczyło się niemrawo i grzęzłem w nim jak w zbutwiałych moczarach. Nie wiem, ile czasu spędziłem, trzymając w dłoniach te postrzępione czasopisma, które trąciły Anglią i które, tak jak ona, tchnęły nudną powagą. Słyszałem, jak Brett wchodził i wychodził ze swego pokoju, a z korytarza docierały do mnie czyjeś głosy, brzęczenia dzwonek. Z ulicy wpadał warkot silników i dochodziło ciężkie, dudnienie autobusów. Strażnik nie otrzymał nakazu pilnowania mnie, gdyż często opuszczał pokój, w którym przebywałem zupełnie sam. W pewnej chwili udał się do gabinetu Bretta i powrócił z taśmą magnetofonową w dłoni. Założył ją na aparat. Rozległy się słowa mojej rozmowy z inspektorem. Włączał i wyłączał magnetofon zdanie po zdaniu. Przepisywał szybko na maszynie całą naszą rozmowę, wyraźnie interesując się jej sensem. Nie jestem nawet pewien, czy zdawał sobie sprawę z tego, że ja byłem jednym z uczestników tego dialogu.

Przez pewien czas uderzał błyskawicznie w klawisze, potem zapalił papierosa, równocześnie, częstując mnie. Odmówiłem. Nadal nie wiedziałem, czy jestem zatrzymanym czy świadkiem. Jak zareagowałby, gdybym powstał z miejsca i oświadczył, że wracam do hotelu? Aby się przekonać, jak w rzeczywistości wygląda moja sytuacja, zapytałem gdzie są toalety.

– Drzwi w głębi korytarza, sir – powiedział i dalej walił w klawisze swojej underwood. Zachwycony nie wiadomo czemu tą pozorną wolnością, wyszedłem na korytarz. Gdy znalazłem się w środku korytarza, rozległ się jakiś dzwonek i pojawił się glina w mundurze. Nie patrząc na mnie usiadł na ławeczce obitej skórą. Okna w toalecie były zakratowane. Wróciwszy do pokoju sekretarza, zdumiałem się na dźwięk własnego głosu.

„Niech pan posłucha, inspektorze, myślę, że mrs Faulks jest ładacznicą, a mrs Morthon starą wariatką...”

Policjant podniósł głowę z roztargnieniem. Nie interesowałem go. W chwilę potem odwiedził mnie jakiś pan czymś zatroskany i ubrany w biały kitel. W dłoni trzymał kartonowe pudełko bez pokrywki, w drugim zaś szeroki nóż, jakich używają szklarze.

– Pozwoli pan, sir?

Ukląkł przede mną i podniósł mi nogę. Podstawił pudełko pod mój pantofel i zaczął skrobać podeszwę szpachelką. Schnące już błoto oblepiające buty spadało do pudełka, wydając przy tym odgłos podobny do dudnienia ulewy. Ten mężczyzna w kitlu wyglądał jak sprzedawca obuwia.

– Uprzejmie dziękuje, sir.

Znowu czas zaczął uciekać i byłem o krok od poproszenia o coś do zjedzenia, ale nie miałem ochoty posilać się w biurach policji. Oznaczałoby to poddanie się.

Zaraz potem zasnąłem, z plecami przyklejonymi do oparcia krzesła i z głową dotykającą ściany.

Młody policjant pisał dalej na maszynie. Ale mój głos nadal płynął z przerwami – z magnetofonu. Był to dziwny głos, do którego przyznawałem się z trudem, bo był zniekształcony strachem.

\* \* \*

– Mister Valaise, czy mogę pana prosić?

Podskoczyłem, łokieć zsunął się z oparcia i o mały włos nie spadłem z krzesła. Nade mną stał

Brett. Z całą pewnością był po obiedzie, twarz miał czerwoną.

– Proszę przejść do mojego gabinetu.

Nie wiem, dlaczego koniecznie chciałem wiedzieć która godzina. W tym momencie była to dla mnie najważniejsza rzecz na świecie.

– Jest druga po południu, sir. – Pomyślał widocznie, że w moim pytaniu kryła się wymówka, bo zaraz dodał: – Proszę mi wybaczyć, że musiał pan tak długo czekać, ale sam pan rozumie: należało sprawdzić niektóre szczegóły.

– Jakie szczegóły?

– Zaraz o tym pomówimy. Może pan, potrzebuje czegoś?

– Tak, szklanki wody.

– A może wolałby pan szklankę piwa?

Co należało wywnioskować z tej nadmiernej troskliwości? Może jakoś wszystko się układało?

– Wolę wodę, inspektorze.

W jego gabinecie stała szafka. Dzielila się na dwie części. W pierwszej wieszano okrycia, druga zaś kryła umywalkę. Brett z wąskiej półki zdjął szklankę, którą zanim napełnił po brzegi i podał, starannie umył. Woda, tak jak we wszystkich miastach, pachniała lekko chlorem. Pijąc przyglądałem się Brettowi, który trzymał w dłoni list Marjorie.

– Przeprowadzono analizę grafotoczną tego listu, mister Valaise. I z przykrością muszę panu donieść, że nie został napisany przez mrs Faulks!

Patrzyłem na niego i zastanawiałem się, czy nie jest to jakaś pułapka. Wypiłem całą podaną mi wodę. Ta nowa zagadka całkiem mnie przerastała.

– Co pan na to?

Musiałem się zastanowić. Nie rozwiązane zagadki nie istnieją. To złudzenie, tak jak przypadek. Wystarczy pomyśleć i wszystko się wyjaśnia.

– Skąd mieliście próbkę jej pisma?

– Beże mój, zdobyliśmy ją w najprostszy sposób: prosząc, aby skreśliła kilka wierszy na kartce!

Kartka ta znajdowała się w teczce i Brett usłużnie wyjął ją, i podał mi razem z listem.

– Proszę spojrzeć: byliśmy na tyle sumienni, że prosiliśmy, aby napisała ten sam tekst. Tłumacz twierdzi, że ten, który mrs Faulks napisała przy nas, roi się od błędów. Pisze źle, w pańskim języku, bardzo źle. Zoś co do liter, sam pan widzi, że nie mają nic wspólnego z tymi z pierwszego listu.

– Musiała zmienić charakter pisma.

– Nie, monsieur.

Powiedział „monsieur” po francusku z tak ohydny akcentem, że nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

– Biegły jest stanowczy: każdy list został napisany przez dwie różne osoby, przy czym autorem pierwszego jest najprawdopodobniej mężczyzna!

Odebrał mi papiery i włożył je z powrotem do teczki. Brett zachowywał się teraz inaczej. Nie był to już ostrożny i bezstronny policjant, z którym miałem do czynienia rano, był teraz zdeterminowany, pewny siebie.

– Nadal nie ma żadnych wieści o Nevilu Faulksie, mister Valoise.

– Co ja na to mogę poradzić?

– Czy pan wie, że błoto spod pana pantofli jest takie same jak to, które było na ostrzu łopatki przez pana... znalezionej! Właśnie, gdzie ją pan... znalazł?

Powstrzymałem się od odpowiedzi.

– Czy przypadkiem nie w sklepie żelaznym na Charlotte Street? – Wstał z miejsca i zdjął z wieszaka parasol. Był to ten parasol, który pożyczyła mi służąca z Fort William's Hotel. – Znalaziono ślady zaschniętej krwi na wewnętrznej stronie materiału – ciągnął dalej Brett. – Nasze laboratorium wykona dokładniejszą analizę, ale już obecnie chemicy są przekonani, że jest to krew pochodzenia ludzkiego. – Położył parasol na swoim biurku, kierując w moją stronę stalowy

szpikulec. – Czy może mi pan pokazać swoje dłonie, mister Valaise?

Wyciągnąłem ręce bezradnie przed siebie. Gdy chodziłem do przedszkola, tęga nauczycielka o srogim wyglądzie robiła każdego ranka przegląd naszych dłoni. I tak jak wówczas, również teraz byłem pełen obaw. Po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat! Brett postąpił identycznie jak nauczycielka: Odwrócił mi ręce lekko przekręcając przeguby.

– Nie ma pan żadnych zadrapań, sir. Skąd więc ta krew na tym przedmiocie? Krew jest świeża, a parasol zanim go panu wypożyczono, stał kilka miesięcy w szafie.

Nie mogłem się nadziwić umiejętnościom policjanta. Kroczył naprzód w prowadzonym przez siebie śledztwie, przebijając się miarowo przez gąszcz chwastów, tak jak kosiarz po trawnikach Princess Garden.

– Ma pan bardzo ładne dłonie, mister Valaise. Czyżby były to dłonie mordercy?

Przygnębiony opuściłem ręce wzdłuż ciała.

– Niestety tak! – westchnąłem.

## ROZDZIAŁ XX

Siedziałem w fotelu, na wprost Bretta. Magnetofon szumiał niemal bezgłośnie. Ale kiedy zatrzymałem się w swoich zeznaniach, ten nikły szum doprowadzał mnie do szału i zmuszał do dalszego mówienia. Zacząłem wszystko od samego początku, od chwili, gdy siedząc w restauracji w Juan, zauważyłem kobietę, która wsiadła do mojego wozu. Opowiedziałem mu o naszym spotkaniu w kosynie, o torbie plażowej, którą odebrała z mojego hotelu. Opisałem mu, z jakim zapalem napisałem swój list. Opowiadałem mu o Denise i o kilku beztróskich dniach z nią spędzonych.

– Nie znam Lazurowego Wybrzeża – stwierdził Brett melancholijnie.

To oświadczenie zbliżyło mnie do niego. Ale inspektor znów przybrał minę uważną i nadętą. Przypuszczam, że magnetofon peszył również jego. Wypowiadał w jego stronę jedynie zawodowe uwagi.

Doszedłszy do sprawy listu od Marjorie, odruchowo ująłem inspektora za ramię. Chciałem koniecznie go przekonać.

– Ona go napisała, inspektorze! Przysięgam panu, że to ona. Wasz biegły myli się, chyba że... Tak, niech pan posłucha, wydaje mi się, że już wiem: ona bała się swego zazdrosnego męża. Czy nie mogła prosić jakiejś przyjaciółki aby przepisała ten list? Z czystej przezorności.

Brett nic nie odpowiedział. Gładził się po różowych wygolonych policzkach, na których można było zauważyć drobne fioletowe żyłki świadczące o trwającym procesie trawienia.

– Nie wierzy mi pan?



– Proszę mówić dalej, mister Valaise.

Mówiłem więc dalej: o telegramie, o moim przybyciu do Edynburga, o moim przerażeniu, kiedy nie zastałem nikogo w „Learmonth Hotel”, moich poszukiwaniach, o „Bed and breakfast” mrs Morthon, o czekaniu na rogu ulicy i...

– Wielki Boże, inspektorze! Udowodnię panu, że Marjorie zgadzała się na spotkanie się ze mną!

Zacząłem gwałtownie przewracać kieszenie, aż znalazłem to, czego szukałem: małą kulkę papieru. Wyprostowałem ją i prze tłumaczyłem, tekst Brettowi.

„Drogi Jean-Marie. Dzięki, dzięki, dzięki.

Po stokroć dzięki za przybycie. Niestety, mąż przyjechał za mną. Wszystko panu wytłumaczę. Proszę przyjść dziś wieczorem począwszy od pigtej do ogródów Princess Street i stanąć w pobliżu kiosku muzycznego.

Kocham pana. Pańska „Ma Jolie”.

– Rzuciła mi ten bilecik pod nogi, gdy szła z mężem trzymając go pod rękę.

Brett wziął go i znów otworzył teczkę z próbkami pism.

–Tego nie napisała mrs Faulks! – oświadczył.

Odczułem znowu wewnętrzny niepokój, który bolał niczym ataki nieubłaganej choroby. Musiało z całą pewnością dojść do pomyłki przy porównywaniu pisma Marjorie z otrzymanymi przeze mnie listami. Mimo usilnych starań i wszechstronnej analizy problemu nie mogłem znaleźć innego rozwiązania.

Brett, jak zwykle spokojny i jak zawsze dokładny, poprosił:

– Proszę dalej, mister Valaise.

\* \* \*

Gdy doszedłem do końca swej spowiedzi, inspektor wyłączył magnetofon.

– Dziękuję. Od tej chwili jest pan zatrzymany!

Przyszli po mnie strażnicy. Szliśmy przez nie kończący się korytarz. Prawdziwy labirynt, który musiał prowadzić do miejsca straceń!

\* \* \*

Pomieszczenie, w którym mnie zamknięto, nie było podobne do celi więziennej; a przynajmniej do mego wyobrażenia takiej celi. Był to prawdziwy pckój, dość skromny, z łóżkiem z surowego drewna, z umywalką i szafką. Okno było co prawda zakratowane, ale szyby nie były matowe. Wychodziło ono na wąską, biegnącą w dół ulicę, na końcu której stał potężny ciemny budynek. Jacyś spokojni ludzie zajęci byli swoimi sprawami. Widać było antykwariat, na wystawie którego królowała wielka czerwona kobza. Z daleka instrument wyglądał jak nadęte zwierzę o cieniutkich nogach.

Strażnik przyniósł mi obiad na tacy: zupę rybną, kawałek cielęciny z niedogotowanymi ziemniakami. Pewnie dlatego, że byłem Francuzem, podano mi koszyk z bułeczkami. Wszystkie te potrawy miały typowy dla szkockiej kuchni smok zimnego łaju. Prawie nic nie zjadłem. Nie byłem zresztą głodny. Gdy już skończyłem, zapukałem do drzwi, aby zabrano te resztki, których sam widok przyprawiał mnie o mdłości. Ale nikt nie nadszedł. Położyłem się na łóżku, aby spokojnie myśleć. Zamykając oczy, miałem wrażenie, że jeszcze jestem w Juan-les-Pins.

Oddałbym chętnie te chwile, które jeszcze mi pozostały, aby znów móc upajać się zapachami i dźwiękami Lazurowego Wybrzeża...

Przyszli po tacę. Było ich dwóch. Czy nagle zaczęli się obawiać, że mógłbym zbiec? Nie przyszłoby mi to do głowy. Sama myśl o budzeniu po wrogim Edynburgu przerażała mnie bardziej niż siedzenie w więzieniu. Tu przynajmniej nie musiałem już o niczym decydować. Z rękami założonymi pod głowę pozwalałem toczyć się wydarzeniom. Niech inni działają! Niech inni stardją się coś z tego zrozumieć, Ja się poddawałem. Zrobiłem głupstwo i przygotowywałem się do zapłacenia rachunku. Tajemnica życia, jego największa tajemnica to pogodzenie się z losem. Człowiek, który poddaje się własnemu losowi, jest człowiekiem szczęśliwym! Obaj strażnicy już wychodzili, gdy pojawił się trzeci, aby mnie zaprowadzić do gabinetu Brett.

\* \* \*

Inspektor, kiedy wszedłem do jego pokoju, pykał czarną fajkę. Podniósłszy głowę, pospiesznie odłożył ją do popielniczki, tak jakby nie wypadało palić w obecności oskarżonego.

Przyglądał mi się z dziwnym wyrazem twarzy.

– Odnaleźliście trupa? – zapytałem siadając

Zaczynałem czuć się swobodnie w tym gabinecie. Pionowe oparcie siedzenia i jego niewygodne poręcze już mi nie przeszkadzały. Podobał mi się aromatyczny zapach jasnego tytoniu. Fajka tliła się, sycząc cichutko.

– Proszę chwilę zaczekać. – Brett założył ncwą taśmę i uruchomił magnetofon, którego szum znowu zaczął doprowadzać mnie do mdłości. – Rzeczywiście wykopaliśmy ciało Nevila Faulksa. – Nie wiedział, co dalej powiedzieć, zapewne chciał mi zadać jakieś delikatne pytanie i starał się przemyśleć je jak najdokładniej. – Mister Valaise...

Byłem mu wdzięczny za jego kurtuazję. We Francji policjanci nie zwracają się do morderców per „pan”.

– Mister Valaise, w pana zeznaniu coś się nie zgadza. Twierdzi pan, że zabił pan Nevila Faulksa kilka minut po siedemnastej, czy tak?

– Tak, i podtrzymuję, że to jest absolutna prawda!

– Otóż nie!

– Przysięgam panu...

– Niech pan nie przysięga! – Był wściekły. Jego pełna grzeczności cierpliwość uleciała gdzieś. – Faulks został zabity między jedenastą a północą! Lekarz sądowy nie ma najmniejszych wątpliwości.

– Boże mój – wyszeptałem – agonia trwała sześć godzin! A myśmy myśleli, że on nie żyje!

– Zgon nastąpił natychmiast, kula trafiła go w mózg! Chce pan nam wmówić, że działał pan w obronie własnej, i wmieszać mrs Faulks w tę zbrodnię, ale muszę panu powiedzieć, mister Valaise, że obrał pan zły sposób obrony. Aby pańska teza była prawdopodobna, musiałby pan zmienić godzinę popełnienia zbrodni. Niezbyt dobrze do pańskiego twierdzenia przystaje. Źle to się dla pana składa, ale to, co wiemy, a mianowicie: że o godzinie siódmej wieczorem Nevil Faulks był z żoną w restauracji na Aberdeen Street. Następnie, nadal w towarzystwie żony, wrócił do mrs Morthon. Około dziesiątej zadzwonił pan do niego, telefon odebrała mrs Morthon, która przełączyła rozmowę do pokoju Faulksów. Twierdzi ona kategorycznie, że rozmówca mówił z francuskim akcentem! W chwilę potem Nevi Faulks telefonował do pana, aby powiedzieć, że zaraz wychodzi na umówione z panem spotkanie.

Znalazłem się nagle w czwartym wymiarze. Brett myślał, że porusza się po twardym gruncie, a ja wiedziałem, że posuwa się po grząskim terenie. Jedynie ja znałem teraz prawdę, ale wydawała się ona, na skutek niezwykle perfidnej machinacji, zupełnie nierzeczywista.

Wszyscy kłamali, by ratować Marjorie.

– To niemożliwe, inspektorze. *Niemożliwe!* Zabiłem go o piątej.

Zaciętość ustąpiła litości.

– Zaprzecza pan oczywistym faktom. Być może, takie postępowanie wywarłoby jakiś wpływ na francuską ławę przysięgłych. Ale nie jest w stanie wzruszyć angielskich ławników, proszę o tym pomyśleć, mister Valaise!

Splotłem dłonie, aż mi palce posiniały. Pojmowałem teraz, co znaczy, że ludzie walą głową o ścianę. Miałem ochotę porozbijać wszystko dookoła siebie, tarzać się po ziemi.

– Inspektorze! Albo jestem niebezpiecznym wariatem, albo Marjorie Faulks skorzystała z pomocy kilku współników, żeby być wyłączonej z kręgu podejrzeń!

Brett zbladł i żyłki na jego twarzy przybrały błękitny kolor.

– Nie sądzę, aby był pan wariatem, mister Wrlaise, ale podejrzewam, iż chętnie chciałby pan uchodzić za takiego! Od piątej do szóstej Nevil Faulks prowadził rozmowy w poważnym przedsiębiorstwie robót publicznych, w towarzystwie trzech godnych szacunku dżentelmenów. Zanim zasiadł do stołu w restauracji na Aberdeen Street, wypił z żoną aperitif w barze. Barman, maitre d'hotel i kelnerka rozpoznali pół godziny temu jego zwłoki! To samo uczyniła mrs Morthon! Czy ma pan czelność twierdzić, że wszyscy ci ludzie kłamią, żeby ratować mrs Faulks?

Miałem wrażenie, że biegnę z zowiazanymi oczami krawędzią jokiegoś dachu. A może rzeczywiście byłem wariatem? Przecież obłąd również jest złudzeniem.

Policjant uspokoił się. Wziął fajkę, pyknął z niej ze dwa, trzy razy, po chwili odłożył ją bez zapalania.

– Dziś w nocy zatrzymał pana na rogu Frederik i Princess Street pewien policjant. Oświadczył pan, że czeka na kogoś.

– Tak, chodziło o mrs Faulks.

Zaśmiał się krótko i obraźliwie. Jego śmiech przypominał kąsanie złego psa.

– I widząc, że nie nodchodzi, poszedł pan po prostu do niej! Czy nie sądzi pan, że jest to mało logiczne?

Nastąpiła przerwa. Taśma magnetofonowa kręciła się, nic nie rejestrując. Pomyślałem o sekretarzu siedzącym w sąsiednim pokoju. Będzie mógł odetchnąć. A może pomyśli, że przesłuchanie się skończyło.

– Było to zabójstwo z premedytacją, mister Valarse.

– Nie!

– Tak! Rewolwer, z którego Faulks został zabity, jest francuskiego pochodzenia!

– A więc? – nalegał Brett.

– Widzi pan, monsieur Brett, gdy człowiek przeżywa takie chwile, to powinien móc się

zbudzić i powrócić do rzeczywistości.

– Tyle tylko ma mi pan do powiedzenia?

– Tylko tyle, inspektorze. Zabiłem Nevila Faulksa, ale zabiłem go o piątej, w obecności i w obronie jego żony.

Westchnął.

– A zatem te pół tuzina osób, które później go widziały i z nim rozmawiały, padło ofiarą zbiorowej halucynacji?

– Może wszystko im się pomieszało.

– Sobowtór, prawda? A może brat-bliźniak? Mister Valaise, sądziłem, że Francuzi, jako pochodzący z kraju Kartezjusza, są racjonalistami.

– Foulksa zabiłem o piątej, może kilka minut później.

– I ciało pozostało no trawniku?

– Tak.

– Podejrzewam, mister Valaise, że będzie pan musiał wymyślić co innego. *Wczoraj wieczorem ogrodnicy Princess Garden, jak zowisze, strzygli trawniki. Wszystkie trawniki. Gdyby natrafili na trupa, daliby nam notyrchmiost o tym znać!*

## ROZDZIAŁ XXI

W czasach studenckich kolego mający chody w środowisku filmowym załatwił mi statystowanie w pewnym filmie. Akcja sceny, w której wystąpiłem, toczyła się... w sądzie. Siedziałem wśród publiczności! Reżyser nakazał nam, abyśmy wyglądali na przejętych i patrzyli na umieszczoną nad kamerą żarówkę. Wydawało mi się wówczas, że trudno oprzeć się chęci patrzenia w obiektyw i miałem uczucie, iż na ekranie uwidoczni się mój cały wysiłek, jaki poniosłem, by opanować tę skłonność. Po zakończeniu filmu widziałem swoją twarz tylko przez ułamek sekundy. Zwracała nie więcej uwagi niż pojedyncza cegła w ceglany murze.

Kiedy nazajutrz stanąłem przed sądem, przypomniał mi się ten stary film. Miałem wrażenie, że z wyjątkiem Bretta wszyscy biorący udział w scenie są statystami i że rozlegnie się głos, który w odpowiednim momencie powie „stop”!

Uczestniczyłem w tym dziwnym ceremoniale będąc całkiem oderwany od rzeczywistości; tak jakbym nie był jego głównym bohaterem, lecz jakimś anonimowym, zagubionym w tłumie widzom, który licznym słuchaczom objaśniał, na czym polegały okoliczności dramatu.

Wezwano Marjorie. Gdy weszła na salę, myślałem że zemdleję z wrażenia. Wydawała mi się jeszcze piękniejsza niż zazwyczaj. Podziwiałem jej skromną i taktowną postawę. Nie odgrywała roli wdowy zalanej łzami, nie miała na sobie żałobnego stroju, było umalowana jak zwykle. Młoda Angielka, której godność wywoływała szacunek. Jedyne jej zaczerwienione policzki kazały przypuszczać, że ostatnio dużo płakała. Umiała stawić czoło przeciwnościom losu. Odczytałem ze wzruszonych obliczy zgromadzonych na sali, że ta mała dziwka wywołuje podziw.

Bezbarwnym głosem, bez uniesień i nienawiści wyjaśniała, jak się poznaliśmy we Francji i jak natychmiast padła ofiarą mojego uwodzenia. Słuchając jej, tak spokojnej i pewnej siebie, łapałem się na tym, że sam mogłem zwątpić w siebie. Marjorie wytrzymała moje spojrzenia, a w jej spokojnych oczach były tylko smutek i litość. Dawała do zrozumienia, że jestem maniakiem, szaleńcem. O swoim wyjeździe do Szkocji powiedziała mi myśląc, że odcepnię się od niej. Teraz oczywiście gorzko żałuje tego, gdyż zabiłem jej męża i zламаłem jej życie! Jej zdziwienie, gdy niespodziewanie ujrzała mnie w „Bed and breakfast” mrs Morthon, było ogromne.

– Już wówczas – przyznawała ta niewinna duszyczka – miałam najgorsze przeczucie. Zawiadomiłam męża o zaistniałej sytuacji, żeby nie był zaskoczony postępowaniem mister... hm... bardzo przepraszam, ale nie przypominam sobie jego nazwiska.

Następnie wyjaśniła swoim cichym, aczkolwiek wyraźnym głosem, że w dniu zbrodni szedłem za nią aż do teatru no świeżym powietrzu. Usiadłem obok niej, zalewając ją potokiem płomiennych wyznań. Zmuszona była udieć. Stary Szkot w kilcie, który siedział w tym samym

rzędzie co ja, potwierdził jej słowa.

O dziesiątej wieczorem, twierdziło dalej Marjorie, zadzwoniłem do jej męża. Pragnąłem zobaczyć się z nim natychmiast. Ponieważ nie palił się do nocnego spotkania, powiedziałem mu, żeby się zastanowił i zadzwonił do mojego hotelu. Nevil Faulks po namyśle, który trwał pół godziny, mimo nalegań jego żony, obawiającej się skutków takiego spotkania, zatelefonował.

Wszystko było znakomicie skonstruowane. Słuchałem jej historii, wiedząc doskonale, że jest gruntownie fałszywa i zastanawiałem się, jakim cudem Marjorie zdołała ją zbudować. Następnie zeznawała ubrana w czerwony płaszcz z futrzanym kołnierzem mrs Morthon, która potwierdzała słowa swego gościa. Umalowała się jak Indianin na ścieżce wojennej i wyglądała jak „Wariatko z Chaillot”. Po niej wystąpił inspektor Brett. W sposób oszczędny przedstawił wyniki śledztwa, podpierając je fragmentami przesłuchania. Wreszcie koroner zapytał mnie, czy chciałbym coś dorzucić.

Przedstawiłem własną wersję faktów, podkreślając, że to czysta *prawda* i że nie potrafię powiedzieć nic innego niż prawdę. Zrozumiałem jednak, że nikt mi nie wierzy. Mówiłem spokojnie, starając się być przekonywający, ale wszyscy patrzyli na mnie z niewiarą i pogardą. Ława przysięgłych uznała mnie winnym morderstwo dokonanego z premedytacją na osobie Nevila Faulksa i zawiadomiła mnie, że w najbliższym czasie stanę przed sądem w Edynburgu.

Z premedytacją. Oznaczało to karę śmierci. Mój proces ograniczy się jedynie do uroczystego potwierdzenia wydanego już wyroku.

Wyszedłszy z sali udałem się w towarzystwie strażników do sąsiedniego pokoju, którego ściany były wyłożone ciemną boazerią. Przy jednym z okien stał Brett. Palił mozołnie swoją czarną fajkę. Był blady i niczym królik poruszał swoim różowym nosem. Odniosłem wrażenie, że czyha właśnie na mnie. Gdy przechodziłem obok niego, rzeczywiście odwrócił się w moją stronę. Zatrzymałem się w miejscu jak koń, który staje dębo. Moi stróżnicy przestraszyli się i natychmiast chwycili mnie za rękę.

– Chciałbym panu coś powiedzieć, inspektorze.

W jego oczach pojawiła się iskierka zainteresowania i zbliżył się do naszej grupy.

– Panie Brett – rzekłem – sądzę, że skończył pan swoją pracę, błagam jednak, aby dalej prowadził pan śledztwo. Gotów jestem podpisać oświadczenie, w którym przyznaję się do zamordowania z premedytacją Faulksa, jeżeli to może pana uspokoić, ale zanim przyjdzie mi za to zapłacić, chcę wiedzieć, jak ta kobieta wszystko ukartowała, aby wmówić, że zobitem między jedenastą a północą, skoro wiem, iż stało się to o piątej! Jestem przekonany, że jest pan policjantem, dla którego prawda stanowi rzecz najważniejszą, a zatem liczę na pana, panie Brett!

Popatrzyliśmy na siebie przez chwilę. Brett dalej palił fajkę w milczeniu. Nie potrafiłem już panować nad swoim smutkiem. W moich oczach pojawiły się łzy, których nie mogłem otrzeć, ponieważ strażnicy nadal trzymali mnie za rękę.

– Zabiłem go o piątej, inspektorze. O piątej! Musli mi pan wierzyć!

Płaczący mężczyzna stanowi zowsze przykry widok, tym bardziej dla dżentelmena urodzonego na Wyspach Brytyjskich. Brett zmarszczył swój różowy króliczy nos i odwrócił się bez słowa.

\* \* \*

Nie przebywałem już w siedzibie policji, lecz w prawdziwym więzieniu i moja celo spełniała wszelkie warunki pomieszczenia przeznaczonego dla więźniów.

Pies, gdy czuje, że umiera, kuli się w głębi własnej budy i z łbem opartym o swe przednie łapy czeka, aż nadejdzie ostatni moment. Położyłem się na brzuchu na wąskim żelaznym łóżku i czekałem, aż nadejdzie moja chwila. Ogarnął mnie dziwny spokój. Marjorie i jej czary, angielscy sędziowie i ich wyroki znalazły siłę na drugim planie. Stałem twarzą w twarz z własnym sumieniem, czyli z własną zbrodnią. Nie miałem wątpliwości, że działałem z premedytacją. Czulem jeszcze w rękę dotyk rewolweru. Widziałem wykręconą twarz Faulksa. Zabiłem z nienawiści. A krzyk rozpaczony Marjorie nie miał właściwie żadnego wpływu na moje postępowanie.



Od pierwszej chwili swego istnienia byłem zabójcą, jeżeli bowiem wystarczają trzy sekundy, aby nim zostać, to oznacza, że było się nim potencjalnie od momentu przyjścia na świat.

– A więc niech mnie powiesz, będzie wreszcie spokój – westchnąłem.

\* \* \*

Spałem jeszcze głębokim snem, gdy rankiem następnego dnia wszedł strażnik, aby mnie obudzić. Powiedział, co mnie nieco zdziwiło, żebym się porządnie umył. Ogoliłem się dokładnie i zostałem zaprowadzony do gabinetu dyrektora. Czekali tam na mnie Brett i dwaj. jego ludzie. Ucieszyłem się na ich widok.

– Czy zaszło coś nowego, inspektorze?

Był jeszcze bardziej zaszępioty niż zazwyczaj. Czoło przecinała mu fioletowa pręga powstała na skutek noszenia zbyt ciasnego kapelusza. Miał na sobie jasnoszary garnitur, co skłoniło mnie do spojrzania przez okno – pogoda była śliczna.

– Pójdzie pan z nami, bo musimy jeszcze coś sprawdzić – odparł udzielając w ten sposób odpowiedzi na moje pytanie.

Jeden z jego ludzi zbliżył się do mnie z kajdankami w dłoni, ale Brett powstrzymał go ruchem ręki. Szybko włożyłem ręce do kieszeni.

Na dziedzińcu wsiedliśmy do wysłużonej czarnej taksówki. Jeden z inspektorów usiadł za kierownicą. Brett usiadł obok mnie, zaś jego drugi współpracownik obok kierowcy. Dopiero wówczas zauważyłem, że ten drugi ma pod marynarką biały kitel.

– Dokąd jedziemy?

– Sam pan zobaczy

Brett oddychał głośniejszym niż zazwyczaj. Musiał ogolić się naprędce, bo pod brodą były widoczne kępki zarostu. Samochód jechał szybko. Ulice były jeszcze prawie puste. Rozpoznawałem jakieś skrzyżowania, jakieś pomniki. Edynburg tak mi utkwił w pamięci, że miałem wrażenie, iż przebywałem w nim przez wiele lat. Jechaliśmy stromą ulicą wzdłuż pagórków Princess Garden. Pewnie chodzi o wizję lokalną, pomyślałem sobie. Perspektywa tego przygnębiła mnie, gdyż nie byłem w stanie wyobrazić sobie uczestniczenia w parodii tak ohydnej sceny. Tym bardziej że zakładała obecność Marjorie u boku policjantów.

Samochód jednak zamiast zatrzymać się przy parku, pomknął dalej. Przez jakiś czas jechaliśmy Princess Street, a następnie, po objechaniu dobrze oznakowanego ronda, skręciliśmy w prawo. Ulica, w którą wjechaliśmy, była szeroka, krótka i cicha, po obu jej stronach stały szare domy. Kierowca zatrzymał się przy czarnej kracie, między dwoma podjazdami. Zachowanie się policjantów było dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Siedzący obok kierowcy w chwilę po zahamowaniu wozu wysiadł i wszedł do najbliższego domu. Kierowca zapalił, natomiast Brett pilnie przyglądał się zawijasom wzoru obicia przednich siedzeń.

– I co teraz? – zapytałem błagalnym tonem.

Mój sąsiad wzruszył jedynie ramionami.

– Dlaczego pan nic nie mówi, inspektorze? Czy sądzi pan, że mam nerwy ze stali?

– Nie mam panu nic do powiedzenia, mister Valaise!

W skupieniu patrzył na bramę domu, do którego wszedł jego współpracownik w białym kitlu. Uczyniłem to samo. Na tej czynności minął nam co najmniej kwadrans. Czy rzeczywiście, w tym przeklętym mieście muszę zawsze na coś czekać? Czy mając powróż na szyi będę musiał również cierpliwie czekać, aż zapadnia otworzy się pod moimi stopami?

Wreszcie na progu domu zjawił się z powrotem ten drugi glina. Nie był jednak sam. Obok niego stał mężczyzna. Wysoki facet o bladej twarzy i ciemnych włosach. Na jego widok wszystko dookoła zaczęło wirować. Mimo szeroko otwartych ust nie byłem w stanie wyrzec ani słowa.

Chciałem wyciągnąć rękę, ale była ciężka jakby odlano ją z ołowiu.

– Czy coś panu dolega, mister Valaise? – zapytał Brett swoim spokojnym głosem, w którym kryła się lekka ironia.

– Ten mężczyzna! To on! – wykrztusiłem ochryple.

- Jaki on?
- To przecież *Nevil Faulks* !

## ROZDZIAŁ XXII

To, co odczuwałem, było zupełnie niepojęte. Nie byłem w stanie wyrazić swego niedowierzenia, swego przerażenia i swej nadziei. Bałem się, że się mylę, i zastanawiałem się, czy nie straciłem zmysłów. Ogarnęła mnie chęć przyjrzenia się temu mężczyźnie z bliska. Brett zatrzymał mnie w chwili, gdy już chciałem wyskoczyć z wozu.

– Proszę się uspokoić. – W jego zazwyczaj szorstkim głosie było obce mi dotychczas ciepło. – Spodziewałem się takiej reakcji z pana strony – dodał.

Przez ułamek sekundy znowu odtworzyłem scenę zbrodni. Fauiks wyzywający i okrutny z rewolwerem w ręku. Nasza krótka walka i duszenie Marjorie. I ta kula, która trafiła go wprost w głowę. Jego czaszka natychmiast przybrała ohydny, krwawy wygląd. Leżał na trawie, martwy! Padł natychmiast. Był tam też nad ranem, mokry od deszczu, zeszywniały, z zakrzepłą krwią. Nie, ten człowiek, który teraz szedł ulicą i od którego nie mogłem oderwać wzroku, nie mógł być Nevilem Faulksem. To był jego bliźniak. Albo duch... Ale nie mógł być tym mężczyzną, którego zabiłem i pochowałem w czarnej ziemi pod trawnikiem.

– Chodźmy za nim – błagałem – chcę mu się przyjrzeć z bliska.

– Zobacz go pan później, mister Valaise. Mój zastępca prowadzi go do mojego gabinetu, gdzie przyjrzy mu się pan do woli. Zanim się to stanie, będę musiał z nim porozmawiać...

– To nie jest Nevil Fauiks, prawda?

– Rzeczywiście, to nie jest Nevil Fauiks.

– To jego brat?

– Też me. Ten człowiek nazywa się William Brent.

– Podobieństwo jest obłądne.

– Wcale tak nie myślę.

– Przysięgam panu, że tak!

– A ja panu przysięgam, że nie. Obaj są wysocy i szczupli, ale na tym kończy się ich podobieństwo. Brent, w odróżnieniu od Faulksa, nie jest nawet brunetem.

Rzuciłem jeszcze raz okiem na oddalających się mężczyzn.

– Ależ tak, niech pan spojrzy: ten mężczyzna ma ciemne włosy!

– Bo są farbowane!

Inspektor wyjął z wewnętrznej kieszeni jakiś plik papierów, które wypychały mu marynarkę.

Czego tam nie było – wycinki z gazet, okólniki pisane na maszynie, jakieś listy i zdjęcia. Brett wziął do ręki jedno z tych zdjęć i pokazał mi je. Była to twarz ascetycznego mężczyzny, o czarnych jak węgiel brwiach i silnie wystającej grdyce.

– Przedstawiam panu świętej pamięci Nevila Faulksa, mister Valaise.

Pokręciłem głową.

– Nie, inspektorze! Myli się pan: nigdy nie spotkałem tego mężczyzny.

– Owszem, spotkał go pan. To było wtedy, gdy czatując na Marjorie Fauiks, widział ją pan po drugiej stronie ulicy idącą ze swym mężem. Powiedział mi pan, że wówczas przeszła przez jezdnię, aby się do pana zbliżyć. Ale pan patrzył tylko na nią. Dla pana jej towarzysz był wyłącznie plamą, poza tym nie chciał pan, żeby pana dostrzegł. Nigdy człowiek nie przygląda się dokładnie ludziom, przez których sam nie chce być zauważony.

Ale po południu widziałem go w teatrze na świeżym powietrzu. Nasze spojrzenia skrzyżowały się!

– To już nie był Nevil Fauiks, to, mister Valaise, był już ten drugi.

\* \* \*

Zastukał obrączka w szybę. Pierwszy raz zauważyłem, że nosi obrączkę. Nie przyszło mi dotychczas do głowy, że Brett może być żonaty. Dla mnie był tylko machiną do pokonania mnie, urzędnikiem, który ma mnie jak najszybciej wysłać na szubienicę! To złote kółko kojarzyło mi się z jakimś mieszkaniem, z kobietą, dziećmi, przedmiotami, zapachami... Mieszkał gdzieś tutaj, w tym szarym mieście. Może przejeżdżaliśmy przed jego domem?

Nasza taksówka ruszyła. Wyprzedziliśmy zastępcę Bretta i owego Brenta w chwili, gdy mieli przejść przez ulicę. Obaj mężczyźni rozmawiali i Brent nie zauważył mnie, gdy wzburzony przyglądałem mu się przez tylną szybę samochodu.

– Dokąd idą? – spytałem niepewnie.

Obawiałem się, że mężczyzna zniknie tym razem na zawsze, tak jak w starych baśniach znikają czarownice. Na tej szkockiej ziemi, tak sprzyjającej duchom, wszystkie czary były możliwe.

– Idą na policję, ale Brent myśli, że kierują się do szpitala.

– Jak to?

Mój zastępca podał się za pielęgniarza. Powiedział mu, że mrs Faulks została ranna w jakimś wypadku ulicznym i prosi go o przybycie.

– Po co to kłamstwo?

– Aby się przekonać, że ten mężczyzna rzeczywiście zna mrs Faulks. Teraz, skoro poszedł z Lawrencem, wiemy już, że ją zna. Zadowolony jestem z tego drobnego fortelu. – Brett wyraźnie się cieszył. Wyciągnął nogi i splótł dłonie na brzuchu. Westchnął z zadowolenia. – Lovely day, nie sądzi pan, mister Valaise? Przy okazji przypomniało mi się, że mam list do pana.

Ciężko dysząc zaczął grzebać w niemiłosiernie wypchanych kieszeniach. Wyjął złożony na pół list. Wysłano go z Francji. Poznałem eleganckie pismo Denise.

– Nadszedł wczoraj do Learmonth Hotel i pozwoliłem go sobie otworzyć. Jego zawartość może być panu niemiła, mister Valaise, ale to prawdopodobnie on uratował panu życie.

Zacząłem czytać:

„Kochany Gburze!

Czy Ivanhoe Pierwszy był rogaczem? Tego nikt nie wie! Za to wiadomo, że Ivanhoe Drugi został nim! To się stało nazajutrz po Twoim wyjeździe. Z kim? Z Narcyzem, rzecz jasna, z tym ślicznym blondynem z plaży. Skórę ma jak jedwab i gra w siatkówkę po mistrzowsku, ale w łóżku myśli tylko o sobie. Jedyna przyjemność, jaką miałam z tym wspaniałym idiotą, nie była natury fizycznej, lecz moralnej. Wyobraź sobie, że spytał o Ciebie (nie tyle z sympatii, ile z obawy, że zaraz wrócisz). Opowiedziałam mu o Twojej idylli z córką Albionu i wiesz, co ten cherubin wykrzyknął? «Mam nadzieję, że to nie była ta dziewczyna, która zrobiła mi numer z samochodem». Wzięłam go no spytki. Nie było wątpliwości, chodziło o tę samą babę! Aby móc zaczepiać mężczyzn bez narażenia na szwank własnej opinii, myli samochody! Trzeba było na to wpaść! Z Narcyzem numer się nie udał, bo nie była w jego typie. W jego samochodzie *również* zostawiło torbę plażową, ale spostrzegł to na czas, *on* ! Krótko mówiąc, gdy byś się okazał królem frajerów, to nie byłabym specjalnie zdziwiona.

Będziesz pewnie uważał, że jestem złośliwa? Chyba tak, ale wiedz, że po cencie najważniejszą rzeczą u kobiety jest jej miłość własna.

Coś miłego jednak na zakończenie: brakuje mi Ciebie.

Twoja Denise"

Złożyłem list. Ogarnęło mnie uczucie goryczy i najgłębszego poniżenia.

– Ten list stał się punktem zwrotnym w moim śledztwie, mister Valaise. Czytając go, zrozumiałem nagle, że pan nie kłamał i że był pan raczej ofiarą niż zabójcą. A nic tak nie pobudza do działania mózgownicy gliny, jak właśnie tego rodzaju sytuacja.

Moje milczenie zmusiło go do spojrzenia na mnie.

Musiałem mieć dziwną minę, bo przyglądając się sunącym obok nas ogromnym autobusom, zaczął pociągać dziwnie nosem i skulił się w samym kącie auta.

„Gdybyś się okazał królem frajerów, to nie byłabym specjalnie zdziwiona!”.

Co było lepsze? Być mordercą czy frajerem? Dlaczego miałem uważać za osobistą klęskę to, że przestałem grać rolę mordercy z premedytacją? Czy Brett nie pogardzał mną teraz bardziej, gdy okazałem się ofiarą, a nie winowajcą? Królowi frajerowi! Czy Ivanhoe I był rogiem?! Czułem się, jakbym znalazł się na dnie, w mrocznych oparach, przez które przebija się zatrwożone stado zahukanych facetów w moim typie. Byłem oszukanym idealistą, wyśmianym bohaterem, zdradzonym kochankiem!

Na dobrą sprawę, jedyny moment, w czasie którego wyglądałem na bohatera, zaistniał poprzedniego dnia, kiedy ława przysięgłych uznała mnie winnym zabójstwa z premedytacją.

– Jak pan do tego doszedł, monsieur Brett? Był widocznie myślami daleko, bo odezwał się do mnie dopiero po chwili.

– Do czego, mister Valaise?

– Jak pan odkrył prawdę?

– Przystudiowałem na nowo wszystkie materiały sprawy: pana zeznania i zeznania świadków.

– I co?

– Zwróciłem wówczas uwagę na pewien szczegół: mrs Faulks i mrs Morthon zapewniały, że pan pierwszy zadzwonił do Nevila Faulksa. Udałem się raz jeszcze do pańskiego hotelu, gdzie właściciel oświadczył mi stanowczo, że pan do nikogo nie dzwonił. Ale nie był pewien, czy pan cały wieczór przebywał w swoim pokoju. Oglądał telewizję i pan mógł wyjść między dziewiątą a wpół do jedenastej. Skupiłem się więc nad drugim wezwaniem telefonicznym, nad rozmową Nevila z panem, w czasie której potwierdzał przyjęcie propozycji spotkania. W tym „Bed and breakfast” rozmowy z miastem odbywają się za pośrednictwem właścicielki, która łączy je z poszczególnymi pokojami. Ponieważ ma słabą pamięć, zapisuje numery na specjalnej tablicy. I jest ich na niej pełno. *Ale żaden z nich nie należał do Fort William's Hotel. A przecież właśnie tam do pana zatelefonowano!*

Przyglądałem mu się z podziwem.

– Jest pan gliną najwyższego lotu, monsieur Brett.

– Dziękuję.

– I co pan dalej zrobił, jeśli można spytać?

– Moi ludzie zaczęli sprawdzać wszystkie numery figurujące na tablicy. W końcu jeden z nich okazał się godny uwagi. Należał do pewnej umeblowanej kawalerki. Została wynajęta na dzień przed przybyciem Faulksów do Edynburga przez niejakiego mr Brenta z Londynu. Chciałem się przekonać, jak wygląda ów osobnik. Zaczaiłem się. Wreszcie nadszedł...

Brett nie mógł oprzeć się dłużej chęci zapalenia: wyjął fajkę z kieszeni i nabił ją. Zanim dojechaliśmy do komendy policji, pociągnął z niej kilkakrotnie.

– I co dalej, inspektorze?

– Gdy Brent nadjechał i wysiadł z jasnego MG, czułem że jestem na właściwym tropie. Pozwoliłem sobie wówczas na drobną niedelikatność: gdy wszedł do siebie, mimo braku nakazu rewizji, przeszukałem jego MG. Znalazłem tam coś, co dało mi rozwiązanie zagadki. Pokażę to panu później, w moim gabinecie.

\* \* \*

– Proszę wejść, mrs Faulks! Proszę mi wybaczyć to nagle wezwanie...

Weszła do gabinetu swoim lekkim krokiem. Tym razem ubrana była na czarno i nie miała makijażu. Jej piegi wyglądały, jak ślady, które mogą powstać na skutek skropienia twarzy kwasem. Gdy mnie spostrzegła, podniosła lekko brwi, ale zaraz odwróciła głowę, podkreślając w ten sposób, iż odtąd zamierza mnie ignorować.

Brett zachowywał się wobec niej wyjątkowo uprzejmie, niemal szarmancko.

– Proszę zająć miejsce w tym fotelu. Mam nadzieję, że nie miała pani żadnego pilnego spotkania dziś rano?

– Miałam wracać do Londynu!

– Przecież strajk dalej trwa!

– Miałam jechać karawanem – odparła sucho.

– Och, proszę mi wybaczyć, mistress Faulks Zupełnie wyleciło mi to z głowy! – Usiadł na rogu biurka, na wprost fotela, w którym siedziała. Nachylił się nad nią i wyszeptał: – A ja myślałem, że zamierza pani wrócić MG mister Brenta!

Twarz Marjorie przybrała odpychającą, ziemistą barwę. Pod oczami pojawiły się dwa szaro-niebieskie półkola; odniosłem wrażenie, że twarz jej się wydłużyła.

Rozległ się lekki szum: magnetofon Bretta zaczął pracować. Tym razem dźwięk ten zabrzmiał dla mnie jak najśodsza muzyka.

– Nie wiem, o kim pan mówi, inspektorze.

Brett wysunął jedną z szuflad biurka i wyjął z niej jakiś przedmiot owinięty w białe płótno. Rozwinął je i ukazał się rewolwer. Wydało mi się, że go poznaję.

– Mówię o tym panu, do którego ta dziwna broń należy – nacisnął guzik wewnętrznego telefonu. – Niech pan wpadnie tu na chwilę, Morrow, i proszę włożyć biały kitel.

Minęło kilka minut. Brett bujał nogą i przez cały czas pociągał nosem. Marjorie oddychała ciężko i przyglądała się rewolwerowi z przerażeniem w oczach. Ja zaś miałem uczucie, że uczestniczą w niejasnym dla siebie obrzędzie, którego przebieg śledziłem nie bez trudności.

Wszedł Morrow, ten tłumacz z francuskiego, który potwornie zezował. Miał na sobie zbyt długi kitel, którego poły spadały mu do kostek.

– Hello Morrow – zażartował Brett, będący w figlarnym humorze – czy strzelano kiedyś do pana z bliska?

Przybysz zrobił przerażoną minę.

– Kula w samo serce, mój drogi. Zaraz pan zobaczy!

Brett skierował broń w pierś Morrowa i zaciśnął spust. Nastąpił silny wybuch, aż zadrżały przedmioty leżące na biurku. Pokój przecięło smuga dymu. Patrzyłem z przerażeniem no kitel Morrowa. Przez ułamek sekundy zdawało mi się, że Brett zastrzelił swego współpracownika, bo no piersi zezowatego pojawiła się wielka plama krwi.

– Proch trochę spalił kitel, sir! – zauważył flegmatycznie Morrow.

– Nie szkodzi, jest służbowy! – odparł Brett, a zwracając się do mnie, dodał: – Nie będzie już można mówić o szkockim skąpstwie, prawda mister Valaise?

– To broń, którą posługiwałem się tamtego dnia na trawniku, czy tak?

– Tak. Jej kule to kapsułki z hemoglobina. Efekt jest zdumiewający. Mrs Faulks zabrała pana stamtąd natychmiast, żeby pan nie zauważył oszustwa. Brent zaraz się podniósł i poszedł się umyć. Musiał mieć ze sobą to, co było do tego potrzebne. Wieczorem wywabiono pana z hotelu, żeby pan nie miał alibi. To Brent do pana dzwonił. Przekonany, że snuje się pan po pustych ulicach miasta, udał się na spotkanie z tym biednym Faulksem, który na niego czekał i zaprowadził go aż na trawnik. Nie wiem jeszcze, pod jakim pretekstem udało mu się zaciągnąć go w to odludne miejsce. Tym razem strzelił prawdziwą kulą w jego głowę i pan, gdy wrócił nazajutrz do parku, na twarzy Faulksa widział prawdziwą krew.

„Gdybyś się okazał królem frajerów...”.

Marjorie zaczęła pojmować, że wszystko jest już stracone i przybrała postawę nieładzko obojętną. Przez okno przyglądała się światu, do którego już nie należała.

– Pana zachowanie przeszło ich najśmielsze nadzieje, mister Valaise! Zagrał pan więcej niż doskonale rolę, którą panu wyznaczili. Brent jest pani kochankiem, prawda mistress Faulks?

Nie odpowiedziała.

– Chciała pani pozbyć się męża. Zbrodnia została obmyślona misternie. Pomysł, żeby skorzystać z usług niewinnego obcokrajowca, mało obeznanego z życiem kraju, w którym miało nastąpić morderstwo, był wprost genialny!

W jego ustach, słowo „niewinny” brzmiało niemal pejoratywnie. Chyba, że jestem przeczulony! Bo gdy się jest królem frajerów, ma się tendencję do wynajdywania dwuznaczności niemal wszędzie.

Podszedł do drzwi prowadzących na korytarz i zawołał głosem triumfującego człowieka:

– Proszę wejść, mister Brent.

Zanim Brent wszedł do gabinetu, zbliżyłem się do Marjorie i patrząc na nią palającym wzrokiem, wziąłem ją pod brodę.

– A gdybym nie strzelił? – wymamrotałem. – Powiedz, Marjorie, co by było, gdybym nie strzelił? Wszystko wzięłoby w łeb, prawda?

Uśmiechnęła się enigmatycznie.

– Gdyby pan nie strzelił, Jean-Marie, to ja bym to uczyniła. Byłoby to samo, prawda? Jest pan w końcu dżentelmenem!

Musiałem zaczerwienić się. Wybąkałem nieśmiało „dziękuję”, bo to co powiedziała, poprawiło moje samopoczucie.

Brent wszedł do gabinetu. Nie miał już żadnych złudzeń i gdy nas spostrzegł, kiwnął głową niemal pokornie.

– Proszę usiąść, mister Brent Pan jest autorem listu miłosnego wysłanego do mister Valaise, prawda?

Tylko glina mógł jako pierwsze zadać tak drugorzędne pytanie człowiekowi oskarżonemu o morderstwo.

Brent przytaknął sucho.

– Muszę pana ostrzec, że cokolwiek pan teraz powie...

– Wiem, inspektorze.

– Pan również napisał tę karteczkę, którą mrs Faulks upuściła na chodnik?

– Oczywiście.

– Jak to się stało, że mrs Faulks miała ją już w tym momencie?

– Miała ją zostawić w recepcji Learmonth Hotel, ale gdy spostrzegła pana Valaise, wołała mu ją oddać w ten sposób!

– A gdybym przy tej okazji lepiej się przyjrzał jej mężowi? – zaproponowałem.

Brent spojrzał na mnie.

– Marjorie oświadczyłaby panu później, że nie był to jej mąż, lecz jakiś przyjaciel...

Marjorie! Wymówił to imię w niezwykle sposób. Wyczuwało się, że ten mężczyzna ją kocha i będzie ją kochać jak szalony do samego końca.

Trochę mu zazdrościłem.

– Co pan powiedział Faulksowi, żeby go namówić, aby wyszedł o tak późnej porze?

– Od Marjorie wiedziałem, czym się zajmuje. Zadzwoiłem, powołując się na klienta, który nazajutrz miał odpłynąć wczesnym rankiem. Mówiłem o sprawie, która wyniknęła w ostatniej chwili... On już leżał i o mały włos by się nie zgodził.

– Ja go przekonałam, aby wstał i udał się na to spotkanie. Wówczas zadzwonił do Willy'ego aby mu powiedzieć, że przyjdzie.

Dochodziliśmy teraz do morderstwa, do tego prawdziwego. Nagle odczułem skrępowanie. Nie chciałem być obecny przy tej rozmowie.

– Czy mogę opuścić pokój, inspektorze? Nic tu po mnie!

Brett spojrzał na mnie zdziwionym wzrokiem, ale sądzę, że mnie zrozumiał.

– Czy mógłbym obejrzeć zwłoki Nevila Faulksa? – spytałem jeszcze.

Prośba ta mogła wydawać się niestosowna, ale była uzasadniona.

– W tej chwili jest to niemożliwe – odpowiedział Brett – ale mogę panu powiedzieć, że Brent i Faulks mieli na sobie identyczne garnitury. Nic dziwnego, że nazajutrz na trawniku nie zauważył pan nic, co zwróciłoby pana uwagę, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę okoliczności, w jakich tam pan przebywał.

– Mogę wyjść?

– Z tego pokoju owszem, ale nie z budynku. Nadal na panu ciąży oskarżenie, którego nie jestem władny uchylić, mister Valaise. Chodzi o ukrycie zwłok.

## ROZDZIAŁ XXIII

Oskarżenie zostało uchylone nazajutrz przez ławę przysięgłych.

Gdy do tak piekielnej machinacji wciągnięty został akurat król frajerów, można być dla niego tylko bezgranicznie wspaniałomyślnym.

Moje uniewinnienie zbiegło się z końcem strajku i Brett uczynił wszystko, żebym mógł dostać miejsce w samolocie. Jednym słowem, dwa dni później znalazłem się w Juan-les-Pins. Była dziesiąta rano i Denise była już na plaży.

Leżała sama pod naszym parasolem. W ciągu tych kilku dni opaliła się na murzyna.

Rozpoznała mój cień, zanim sam stanąłem przed jej obliczem. Podniosła gwałtownie głowę.

– Kogo ja widzę. Ivanhoe powrócił! – westchnęła.

Rzuciłem się na gorący piasek obok niej. Rozglądałem się wokoło szukając siatkarzy, ale nawet siatka nie była naciągnięta.

– Szukasz Narcyza.

– Tak.

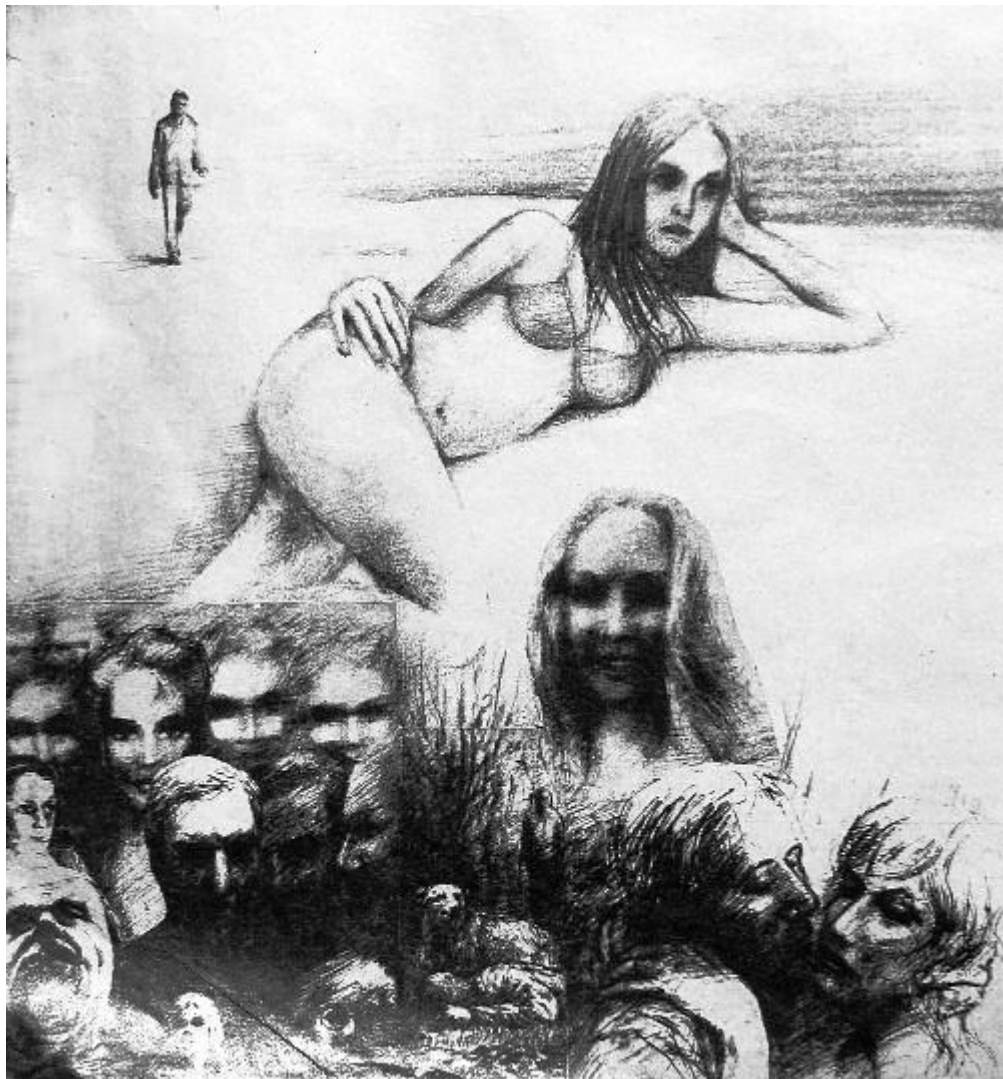
– Jeszcze nie przyszedł, ale możesz być spokojny: ja skłamałam, nic nie było między nami.

– Tak mówisz, bo...

– Mówię to, co jest prawdą. Pisząc ten list do ciebie, byłam po prostu wściekła. Jeżeli poświęca się życie jakiemuś draniowi, to od czasu do czasu wolno chyba mieć napad wściekłości, prawda?

– Ale to, co pisałaś o Marjorie i samo...

– Bujda. Ale przyznasz, że pomysł nie był taki zły, skoro wróciłeś. Bez niego jeszcze byś tam był.



– Trafiłaś w sedno – bez tego pomysłu byłbym jeszcze tam! – Wybuchnąłem śmiechem jak szalony. Denise, chcąc się mścić, uratowała mi życie!

– Dlaczego się tak śmiejesz?

– Bo jestem szczęśliwy!

– Powiedz mi...

– Co kochanie?

– Gdyby, no, gdyby między mną a Narcyzem wszystko było prawdą, co byś wówczas zrobił?

– Nie mam pojęcia.

– Zabiłbyś go?

– Być może...

– Nie byłbyś do tego zdolny.

Nie chciało mi się już śmiać. Doczołgałem się do parasola aż głowa znalazła się w cieniu. Dopiero nieco później odpowiedziałem chrapliwym głosem:

– A jednak tak!